(P.O.rel.)
2590
u

T.O. rel 2590 Mickiewicz

KONRAD WALLENROD.

ROLAND HAGENBUCH

KONRAD

WALLENROD.

PRZEZ

Adama Mickiewicza.

LIPSK

BROCKHAUS & AVENARIUS.

1846.

Zy = dr.

BIBLIOTHECA
REGIA
MONACENSIS.

TREŚĆ RZECZY.

Przedmowa 1
Wstęp 5
Obior 9
Uczta 37
Pieśń Wajdeloty 44
Powieść Wajdeloty 49
Ballada Alpuhara 73
Wojna 79
Pożegnanie 89
Objaśnienia 103

PRZEDMOWA

Naród Litewski składający się s pokoleń Litwinów, Prussów i Lettów, niezliczny, osiadły w kraju nierozległym, niedosyć żyznym, długo Europie nieznajomy, około trzynastego wieku najazdami sąsiadów wyzywany był do czynniejszego działania. Kiedy Prussowie ulegali orężowi Teutonów, Litwa, wyszedłszy ze swoich lasów i bagnisk, niszczyła mieczem i ogniem okoliczne Państwa i stała się wkrótce straszną na północy. Dzieje nie wyjaśniły jeszcze dostatecznie, jakim sposobem naród, tak słaby i tak długo obcym hołdujący, mógł odrazu oprzeć się i zagrozić wszystkim swoim nieprzyjaciołom, z jednéj strony prowadząc ciągłą, morderczą z Zakonem Krzyżowym wojnę, z drugiéj łu-

piąc Polskę, wybierając opłaty u Nowogroda Wielkiego, i zapędzając się aż na brzegi Wołgi i półwysep Krymski. Najświetniejsza epoka Litwy przypadała na czasy Olgierda i Witolda, których władza rozciągała się od Baltyckiego do Czarnego Morza. Ale to ogromne Państwo, zbyt nagle wzrastając, nie zdołało wyrobić w sobie wewnętrznéj siły, któraby różnorodne jego części spajała i ożywiała. Narodowość litewska, rozlana po zbyt obszernych ziemiach, straciła swoję właściwą barwę. Litwini ujarzmili wiele pokoleń Ruskich, i weszli w stosunki polityczne s Polską. Sławianie oddawna już chrześcijanie. stali na wyższym stopniu cywilizacyi; a lubo pobici lub zagrożeni od Litwy, powolnym wpływem odzyskali moralną przewagę nad silnym ale barbarzyńskim ciemiężycielem, i pochłonęli go jak Chiny najezdców Tatarskich. Jagiellonwie i możniejsi ich wassale stali się Polakami; wielu Xiążąt Litewskich na Rusi przyjęło religiją, język i narodowość Ruską. Tym sposobem Wielkie Xięstwo Li-

tewskie przestało być Litewskiém, właściwy naród Litewski ujrzał się w dawnych swoich granicach; jego mowa przestała być językiem dworu i możnych, i zachowała się tylko między pospólstwem. Litwa przedstawia ciekawy widok ludu, który w ogromie swoich zdobyczy zniknął, jak strumyk po zbytecznym wylewie opada, i plynie węższém niżeli pierwéj korytem.

Kilka już wieków zakrywa wspomnione tu zdarzenia: zeszły ze sceny życia politycznego i Litwa i najsroższy jéj nieprzyjaciel Zakon Krzyżowy; stosunki narodów sąsiednich zmieniły się zupełnie; interes i namiętności, które zapalały owczesną wojnę, już wygasły, nawet pamiątek nie ocaliły pieśni gminne. Litwa jest już całkiem w przeszłości; jéj dzieje przedstawiają z tego względu szczęśliwy dla poezyi zawód, że poeta opiewający owczesne wypadki, samym tylko przedmiotem historycznym, zgłębieniem rzeczy i kunsztownem wydaniem zajmować się musi, nie przywołując na pomoc interesu, namię-

tności lub mody czytelników. Takich właśnie przedmiotów kazał poszukiwać Szyller.

« Was unsterblich im Gesang soll leben,
« Muss im Leben untergehen. »

«Co ma ożyć w pieśni, zaginąć powinno w rzeczywistości. »

WSTĘP.

Sto lat mijało, jak Zakon Krzyżowy
We krwi pogaństwa północnego brodził;
Już Prusak szyję uchylił w okowy,
Lub ziemię oddał a z duszą uchodził;
Niemiec za zbiegiem rospuścił gonitwy,
Więził, mordował, aż do granic Litwy.

Niemen rozdziela Litwinów od wrogów:
Po jednéj stronie błyszczą świątyń szczyty,
I szumią lasy, pomieszkania bogów;
Po drugiéj stronie, na pagórku wbity
Krzyż, godło Niemców, czoło kryje w niebie;
Groźne ku Litwie wyciąga ramiona,
Jak gdyby wszystkie ziemie Palemona
Chciał z góry objąć i garnąć pod siebie.

S téj strony tłumy litewskiéj młodzieży,
W kołpakach rysich, w niedźwiedziéj odzieży,
Z łukiem na plecach, z dłonią pełną grotów,
Snują się, śledząc niemieckich obrotów.
Po drugiéj stronie w szyszaku i zbroi,
Niemiec na koniu nieruchomy stoi;
Oczy utkwiwszy w nieprzyjaciół szaniec,
Nabija strzelbę i liczy różaniec.

I ci i owi pilnują przeprawy.
Tak Niemen dawniéj sławny z gościnności,
Łączący bratnich narodów dzierżawy,
Już teraz dla nich był progiem wieczności;
I nikt, bez straty życia lub swobody,
Nie mógł przestąpić zakazanéj wody.
Tylko gałąska litewskiego chmielu,
Wdziękami pruskiéj topoli nęcona,
Pnąc się po wiérzbach i po wodném zielu,
Śmiałe, jak dawniéj, wyciąga ramiona,
I rzekę kraśnym przeskakując wiankiem,
Na obcym brzegu łączy się s kochankiem.
Tylko słowiki Kowieńskiéj dąbrowy
Z bracią swojemi Zapuszczańskiéj góry
Wiodą, jak dawniéj, litewskie rozmowy,
Lub, swobodnemi wymknąwszy się pióry,
Latają w gości na spólne ostrowy.

A ludzie? — ludzi rozdzieliły boje!
Dawna Prusaków i Litwy zażyłość
Poszła w niepamięć; tylko czasem miłość
I ludzi zbliża. — Znałem ludzi dwoje.

O Niemnie! wkrótce runą do twych brodów
Śmierć i pożogę niosące szeregi,
I twoje dotąd szanowane brzegi
Topor z zielonych ogołoci wianków;
Huk dział wystraszy słowiki z ogrodów.
Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,
Wszystko rozerwie nienawiść narodów;
Wszystko rozerwie; — lecz serca kochanków
Złączą się znowu w pieśniach Wajdeloty.

I.

OBIOR.

Z Marjenburskiéj wieży zadzwoniono,
Działa zagrzmiały, w bębny uderzono;
Dzień uroczysty w Krzyżowym Zakonie,
Zewsząd Komtury do stolicy śpieszą,
Kędy, zebrani w kapituły gronie,
Wezwawszy Ducha Świętego uradzą,
Na czyich piersiach wielki krzyż zawieszą,
I w czyje ręce wielki miecz oddadzą.
Na radach spłynął dzień jeden i drugi,
Bo wielu mężów staje do zawodu;
A wszyscy równie wysokiego rodu,
I wszystkich równe w Zakonie zasługi;
Dotąd powszechna między bracią zgoda
Nad wszystkich wyżéj stawi Wallenroda.

On cudzoziemiec, w Prusach nieznajomy,
Sławą napełnił zagraniczne domy;
Czy Maurów ścigał na kastylskich górach,
Czy Ottomana przez morskie odmęty,
W bitwach na czele, pierwszy był na murach,
Pierwszy zahaczał pohańców okręty;
I na turniejach, skoro wstąpił w szranki,
Jeżeli raczył przyłbicę odsłonić,
Nikt się nie ważył na ostre z nim gonić,
Pierwsze mu zgodnie ustępując wianki.

Nie tylko między Krzyżowemi roty
Wsławił orężem młodociane lata,
Zdobią go wielkie chrześcijańskie cnoty,
Ubóstwo, skromność i pogarda świata.

Konrad nie słynął w przydwornym nacisku
Gładkością mowy, skłonnością ukłonów;
Ani swéj broni dla podłego zysku
Nie przedał w służbę niezgodnych baronów.
Klasztornym murom wiek poświęcił młody;
Wzgardził oklaski i górne urzędy;
Nawet zacniejsze i słodsze nagrody,
Minstrelów hymny i piękności względy,
Nie przemawiały do zimnego ducha.
Wallenrod pochwał obojętnie słucha,

Na kraśne lica pogląda zdaleka,
Od czarującéj rozmowy ucieka.

Czy był nieczułym, dumnym s przyrodzenia,
Czy stał się z wiekiem — bo choć jeszcze młody,
Już włos miał siwy i zwiędłe jagody,
Napiętnowane starością cierpienia —
Trudno odgadnąć: zdarzały się chwile,
W których zabawy młodzieży podzielał,
Nawet niewieścich gwarów słuchał mile,
Na żarty dworzan żartami odstrzelał,
I sypał damom grzecznych słówek krocie,
Z zimnym uśmiechem, jak dzieciom łakocie.
Były to rzadkie chwile zapomnienia;
I wkrótce, lada słówko obojętne,
Które dla drugich nie miało znaczenia,
W nim obudzało wzruszenia namiętne.
Słowa: Ojczyzna, powinność, kochanka,
O krucyatach i o Litwie wzmianka,
Nagle wesołość Wallenroda truły:
Słysząc je, znowu odwracał oblicze,
Znowu na wszystko stawał się nieczuły,
I pogrążał się w dumy tajemnicze.
Może, wspomniawszy świętość powołania,
Sam sobie ziemskich słodyczy zabrania.

Jedne znał tylko przyjaźni słodycze,
Jednego tylko wybrał przyjaciela,
Świętego cnotą i pobożnym stanem:
Był to mnich siwy, zwano go Halbanem.
On Wallenroda samotność podziela:
On był i duszy jego spowiednikiem,
On był i serca jego powiernikiem.
Szczęśliwa przyjaźń! świętym jest na ziemi,
Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętemi.

Tak naczelnicy Zakonnéj obrady
Rospamiętują Konrada przymioty;
Ale miał wadę — bo któż jest bez wady?
Konrad światowéj nie lubił pustoty,
Konrad pijanéj nie dzielił biesiady.
Wszakże, zamknięty w samotnym pokoju,
Gdy go dręczyły nudy lub zgryzoty,
Szukał pociechy w gorącym napoju;
I wtenczas zdał się wdziewać postać nową,
Wtenczas twarz jego, bladą i surową,
Jakiś rumieniec chorowity krasił;
I wielkie, niegdyś błękitne źrenice,
Które czas nieco skaził i przygasił,
Ciskały dawnych ogniów błyskawice:
Z piersi żałośne westchnienie ucieka,
I łzą perłową nabrzmiewa powieka,

Dłoń lutni szuka, usta pieśni leją,
Pieśni nucone cudzoziemską mową,
Lecz je słuchaczów serca rozumieją.
Dosyć usłyszeć muzykę grobową,
Dosyć uważać na śpiewaka postać,
W licach pamięci widać natężenie,
Brwi podniesione, pochyłe wejrzenie
Chcące z głębiny ziemnéj coś wydostać;
Jakiż być może pieśni jego wątek?
Zapewne myślą, w obłędnych pogoniach,
Ściga swą młodość na przeszłości toniach —
Gdzież dusza jego? — w krainie pamiątek.

Lecz nigdy ręka, w muzycznym zapędzie,
Z lutni weselszych tonów nie dobędzie;
I lica jego niewinnych uśmiechów
Zdają się lękać, jak śmiertelnych grzechów.
Wszystkie uderza stróny po kolei,
Prócz jednéj stróny — prócz stróny wesela.
Wszystkie uczucia słuchacz z nim podziela,
Oprócz jednego uczucia — nadziei.

Nieraz go bracia zeszli niespodzianie,
I nadzwyczajnéj dziwili się zmianie.
Konrad zbudzony, zżymał się i gniewał,
Porzucał lutnię i pieśni nie śpiewał;

Wymawiał głośno bezbożne wyrazy,
Coś Halbanowi szeptał pokryjomu,
Krzyczał na wojska, wydawał roskazy,
Straszliwie groził, niewiadomo komu:
Trwożą się bracia, — stary Halban siada,
I wzrok zatapia w oblicze Konrada,
Wzrok przenikliwy, chłodny i surowy,
Pełen jakowéjś tajemnéj wymowy.
Czy coś wspomina, czyli coś doradza,
Czy trwogę w sercu Wallenroda budzi:
Zaraz mu chmurne czoło wypogadza,
Oczy przygasza i oblicze studzi.
Tak na igrzysku, kiedy lwów dozorca,
Sprosiwszy pany, damy, i rycerze,
Rozłamie kratę żelaznego dworca,
Da hasło trąbą; w tém królewskie zwierze
Grzmi z głębi piersi, strach na widzów pada;
Jeden dozorca kroku nie poruszy,
Spokojnie ręce na piersiach zakłada,
I lwa potężnie uderzy — oczyma,
Tym nieśmiertelnéj talismanem duszy
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.

II.

Z Marjenburskiéj wieży zadzwoniono,
Z obradnéj sali idą do kaplicy,
Najpierwszy Komtur, wielcy urzędnicy,
Kapłani, bracia i rycerzy grono.
Nieszpornych modłów kapituła słucha,
I śpiewa hymny do świętego Ducha.

HYMN.

Duchu, Światło boże!
Gołąbko Syonu!
Dziś chrześcijański świat, ziemne podnoże
Twojego tronu,
Widomą oświeć postacią,
I rostocz skrzyd a nad Syońską bracią.

S pod twych skrzydeł niech wystrzeli
Słonecznemi promień blaski,
I kto najświętszéj godniejszy łaski,
Temu niech złotym wieńcem skronie rozweseli!
A padniem na twarz syny człowieka,
Temu, nad kim spoczywa twych skrzydeł opieka.
Synu Zbawicielu!
Skinieniem wszechmocnéj ręki
Naznacz, kto z wielu
Najgodniejszy słynąć
Świętym znakiem twojéj męki,
Piotra mieczem hetmanić żołnierstwu twéj wiary,
I przed oczyma pogaństwa rozwinąć
Królestwa twego sztandary;
A syn ziemi niech czoło i serce uniża
Przed tym, na czyich piersiach błyśnie gwiazda
krzyża.

* * *

Po modłach wyszli, Arcykomtur zlecił,
Spocząwszy nieco powracać do choru
I znowu błagać, aby Bóg oświecił
Kapłanów, braci i mężów obioru.

Wyszli nocnémi orzeźwić się chłody;
Jedni zasiedli zamkowy krużganek,
Drudzy przechodzą gaje i ogrody.
Noc była cicha, majowéj pogody;
Zdala niepewny wyglądał poranek,
Xiężyc obiegłszy błonie safirowe
Z odmiennem licem, z różnym blaskiem w oku,
Drzémiąc to w ciemnym, to w srébrnym obłoku,
Zniżał swą cichą i samotną głowę;
Jak dumający w pustyni kochanek,
Obiegłszy myślą całe życia koło,
Wszystkie nadzieje, słodycze, cierpienia,
To łzy wylewa, to spójrzy wesoło,
Wreście ku piersiom zmordowane czoło
Skłania, i wpada w letarg zamyślenia.

Przechadzką inni bawią się rycerze,
Lecz Arcykomtur chwil darmo nie traci,
Zaraz Halbana i celniejszych braci
Wzywa do siebie i na stronę bierze,
Aby zdaleka od ciekawéj rzeszy,
Zasięgnąć rady, udzielić przestrogi.
Wychodzi z zamku, na równinę śpieszy;
Tak rozmawiając, nie pilnując drogi,
Błądzili kilka godzin w okolicy,
Blisko spokojnych jeziora wybrzeży.

Już ranek; pora wracać do stolicy,
Stają, — głos jakiś — skąd? — z narożnéj wieży:
Słuchają pilnie, — to głos pustelnicy.
W téj wieży dawno, przed laty dziesięciu,
Jakaś nieznana pobożna niewiasta,
Zdala przybywszy do Maryi miasta,
Czy ją natchnęło niebo w przedsięwzięciu,
Czy skażonego sumienia wyrzuty
Pragnąc ukoić balsamem pokuty,
Pustelniczego szukała ukrycia,
I tu znalazła grobowiec za życia.

Długo nie chcieli zezwalać kapłani,
Wreście stałością prośby przełamani,
Dali jéj w wieży samotne schronienie.
Ledwie stanęła za święconym progiem,
Na próg zwalono cegły i kamienie,
Została sama z myślami i Bogiem;
I bramę, co ją od żyjących dzieli,
Chyba w dzień sądny odemkną anieli.

U góry małe okienko i krata,
Kędy pobożny lud słał pożywienie,
A niebo, wietrzyk i dzienne promienie.
Biédna grzesznico, czyż nienawiść świata

Do tyla umysł skołatała młody,
Ze się obawiasz słońca i pogody?
Zaledwie w swoim zamknęła się grobie,
Nikt jéj nie widział przy okienku wieży,
Przyjmować w usta wiatru oddech świeży,
Oglądać niebo w pogodnéj ozdobie,
I miłe kwiaty na ziemnym obszarze,
I stokroć milsze swoich bliźnich twarze.

Wiedziano tylko, że jest dotąd w życiu;
Bo nieraz jeszcze świętego pielgrzyma,
Gdy nocą przy jéj błąka się ukryciu,
Jakiś dźwięk miły na chwilę zatrzyma,
Dźwięk to zapewne pobożnéj piosenki.
I s pruskich wiosek gdy zebrane dzieci
Igrają w wieczór u bliskiéj dąbrowy,
Natenczas z okna coś białego świeci,
Jak gdyby promyk wschodzącéj jutrzenki,
Czyto jéj włosa pukiel bursztynowy,
Czylitò połysk drobnéj śnieżnéj ręki,
Błogosławiącéj niewiniątek głowy.
Komtur tamtędy obróciwszy kroki,
Słyszy, gdy wieżę narożną pomijał:
— « Tyś Konrad, przebóg! spełnione wyroki!
Ty masz być mistrzem, abyś ich zabijał!
Czyż nie poznają? ukrywasz daremnie,

Chociażbyś jak wąż inne przybrał ciało,
Jeszczeby w twojéj duszy pozostało
Wiele dawnego, — wszak zostało we mnie!
Chociażbyś wrócił, po twoim pogrzebie
Jeszcze Krzyżacy poznaliby ciebie.»
Słucha rycerstwo — to głos pustelnicy,
Spojrzą na kratę, zda się pochylona,
Zda się ku ziemi wyciągać ramiona.
Do kogóż? pusto w całéj okolicy.
Zdaleka tylko jakiś blask uderza,
Nakształt płomyka stalowéj przyłbicy,
I cień na ziemi — czyto płaszcz rycerza?
Już znikło — pewnie złudzenie źrenicy,
Pewnie jutrzenki błysnął wzrok rumiany,
Po ziemi ranne przemknęły tumany.

— «Bracia! rzekł Halban, dziękujmy niebiosom,
Pewnie wyroki niebios nas przywiodły,
Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom.
Czy słyszeliście? wieszczba o Konradzie,
Konrad dzielnego imie Wallenroda.
Stójmy, brat bratu niechaj rękę poda,
Słowo rycerskie: na jutrzejszéj radzie
On mistrzem naszym! — «Zgoda, krzykną, zgoda!»

I pośli krzycząc; — długo po dolinie
Odgłos tryumfu i radości bije:
Konrad niech żyje, wielki mistrz niech żyje!
Niech żyje Zakon; niech pogaństwo zginie!

Halban pozostał mocno zamyślony,
Na wołających okiem wzgardy rzucił,
Spójrzał ku wieży, i cichemi tony
Taką piosenkę odchodząc zanucił:

PIEŚŃ.

Wilija naszych strumieni rodzica,
Dno ma złociste i niebieskie lica;
Piękna Litwinka, co jéj czerpa wody,
Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody.

Wilija w miłéj Kowieńskiéj dolinie
Śród tulipanów i narcysów płynie:
U nóg Litwinki kwiat naszych młodzianów
Od róż kraśniejszy i od tulipanów.

Wilija gardzi doliny kwiatami,
Bo szuka Niemna swego oblubieńca;
Litwince nudno między Litwinami,
Bo ukochała cudzego młodzieńca.

Niemen w gwałtowne pochwyci ramiona,
Niesie na skały i dzikie przestworza,

Tuli kochankę do zimnego łona,
I giną razem w głębokościach morza.

I ciebie równie przychodzień oddali
Z ojczystych dolin, o Litwinko biedna!
I ty utoniesz w zapomnienia fali;
Ale smutniejsza, ale sama jedna.

Serce i potok ostrzegać daremnie.
Dziewica kocha, i Wilija bieży;
Wilija znikła w ukochanym Niemnie,
Dziewica płacze w pustelniczéj wieży.

III.

Gdy mistrz praw świętych ucałował księgi,
Skończył modlitwę i wziął od Komtura
Miecz i krzyż wielki, znamiona potęgi,
Wzniosł dumnie czoło, chociaż troski chmura
Ciążyła nad niém; wkoło okiem strzelił,
W którém się radość napół z gniewem żarzy,
I, niewidziany gość na jego twarzy,
Uśmiech przeleciał, słaby i znikomy:
Jak blask, co chmurę poranną rozdzielił,
Zwiastując razem wschód słońca i gromy.

Ten zapał mistrza, to groźne oblicze,
Napełnia serca otuchą, nadzieją;
Widzą przed sobą bitwy i zdobycze,
I hojnie w myśli krew pogańską leją.
Takiemu władcy któż dostoi kroku?

Któż się nie zlęknie jego szabli, wzroku?
Drżyjcie Litwini! już się chwila zbliża,
Gdy z murów Wilna błyśnie znamię krzyża.

Nadzieje próżne. — Cieką dni, tygodnie,
Upłynął cały długi rok w pokoju;
Litwa zagraża, Wallenrod niegodnie
Ani sam walczy, ani śle do boju;
A gdy się zbudzi i cóś działać zacznie,
Stary porządek wywraca opacznie.
Woła, że Zakon z świętych wyszedł karbów,
Że bracia gwałcą przysiężone śluby;
Módlmy się, woła, wyrzeczmy się skarbów,
Szukajmy w cnotach i pokoju chluby.
Narzuca posty, pokuty, ciężary,
Uciech, wygody niewinnéj zaprzecza,
Lada grzech ściga najsroższemi kary
Podziemnych lochów, wygnania i miecza.

Tymczasem Litwin, co przed laty zdala
Omijał bramy zakonnéj stolicy,
Teraz dokoła wsi co noc podpala,
I lud bezbronny chwyta z okolicy;
Pod samym zamkiem dumnie się przechwala,
Że idzie na mszą do mistrza kaplicy —

Pierwszy raz dzieci z rodziców swych progu
Drżały na straszny dźwięk żmudzkiego rogu.

Kiedyż być może czas lepszy do wojny!
Litwa szarpana wewnętrzną niezgodą;
Stąd dzielny Rusin, stąd Lach niespokojny,
Stąd Krymskie hany lud potężny wiodą.
Witołd zepchnięty od Jagiełły s tronu,
Przyjechał szukać opieki Zakonu;
W nagrodę skarby i ziemie przyrzeka,
I wsparcia dotąd nadaremnie czeka.

Szemrają bracia, gromadzi się rada,
Mistrza nie widać; Halban stary bieży,
W zamku w kaplicy nieznalazł Konrada:
Gdzież on? zapewne u narożnéj wieży.
Śledzili bracia nocne jego kroki;
Wszystkim wiadomo: każdego wieczora,
Gdy ziemię grubsze osłaniają mroki,
On idzie błądzić po brzegach jeziora:
Albo klęczący, przyparty do muru,
Okryty płaszczem, aż do białéj zorzy
Świéci zdaleka, jak posąg z marmuru,
I przez noc całą senność go nie zmorzy.
Często na cichy odgłos pustelnicy

Wstaje, i ciche daje odpowiedzi;
Brzmienia ich zdala ucho nie dośledzi,
Lecz widać z blasku wstrząśnionéj przyłbicy,
Rąk niespokojnych, podniesionéj głowy,
Że jakieś ważne toczą się rozmowy.

PIEŚŃ Z WIEŻY.

Któż me westchnienia, kto me łzy policzy?
Czy już tak długie przepłakałam lata,
Czy tyle w piersiach i oczach goryczy,
Ze od mych westchnień pordzawiała krata?
Gdzie łza upadnie, w zimny głaz przecieka,
Jak gdyby w serce dobrego człowieka.

Jest wieczny ogień w zamku Swentoroga,
Ten ogień żywią pobożne kapłany:
Jest wieczne źródło na górze Mendoga,
To źródło żywią śniegi i tumany;
Nikt moich westchnień i łez niepodsyca,
A dotąd boli serce i źrenica.

Pieszczoty ojca, matki uściśnienia,
Zamek bogaty, kraina wesoła,
Dni bez tęsknoty, nocy bez marzenia:
Spokojność nakształt cichego anioła,
We dnie i w nocy, na polu i w domie
Strzegła mię z bliska, chociaż niewidomie.

Trzy piękne córki było nas u matki,
A mnie najpierwéj żądano w zamęście;
Szczęśliwa młodość, szczęśliwe dostatki,
Któż mi powiedział, że jest inne szczęście?
Piękny młodzieńcze! na coś mi powiedział
To, o czém w Litwie nikt pierwéj nie wiedział?

O Bogu wielkim, o jasnych aniołach,
Kamiennych miastach, kędy wiara święta,
Gdzie lud w bogatych modli się kościołach,
I kędy dziewic słuchają xiążęta,
Waleczni w boju, jak nasi rycerze,
Czuli w miłości, jak nasi pasterze.

Gdzie człowiek, ziemne złożywszy pokrycie,
Z duszą ulata po roskoszném niebie;
Ach, ja wierzyłam, bo niebieskie życie
Już przeczuwałam, gdym słuchała ciebie!
Ach odtąd marzę w dobrych i złych losach,
Tylko o tobie, tylko o niebiosach.

Krzyż na twych piersiach oczy me weselił,
W nim oglądałam przyszłe szczęścia hasło;
Niestety! z krzyża gdy piorun wystrzelił,
Wszystko dokoła ucichło, zagasło!
Nic nie żałuję, choć gorzkie łzy leję,
Boś wszystko odjął, zostawił nadzieję.

Nadzieję! cichém powtórzyły echem
Brzegi jeziora, doliny i knieje.
Zbudził się Konrad, i z dzikim uśmiechem,

— « Gdzież jestem, wołał, tu słychać nadzieje?
Na co te pieśni? pomnę twoje szczęście;
Trzy piękne córki było was u matki,
Ciebie najpierwéj żądano w zamęście...
Biada, o biada wam nadobne kwiatki!
Straszliwa żmija wkradła się do sadu,
A kędy piersią prześliźnie się błędną,
Usechną trawy i róże uwiędną,
I będą żółte, jako piersi gadu!
Uciekaj myślą i dni przypominaj,
Którebyś dotąd pędziła wesoło,
Gdyby.... ty milczysz? śpiéwaj i przeklinaj;
Niechaj łza straszna, co głazy przecieka,
Nie ginie darmo; zdejmę szyszak z głowy,
Tu niechaj spadnie; niech mi pali czoło,
Tu niechaj spadnie, jam cierpieć gotowy:
Chcę znać zawczasu, co mię w piekle czeka. »

GŁOS Z WIEŻY.

« Daruj, mój miły, daruj mi, jam winna.
Przyszedłeś późno, tęskno było czekać,
I mimowolnie jakaś pieśń dziecinna....
Precz mi s tą pieśnią — miałażbym narzekać?
S tobą mój luby, s tobąśmy przeżyli
Znikomą chwilę, lecz téj jednéj chwili
Nie będę mieniać s całą ziemian zgrają

Na ciche życie przepędzone w nudzie.
Ty sam mówiłeś, że zwyczajni ludzie
Są jako konchy, co się w bagnie tają:
Ledwie raz na rok falą niepogody
Wypchnięte z mętnéj pokażą się wody,
Otworzą usta, raz westchną ku niebu,
I znowu wrócą do swego pogrzebu.
Nie, jam na takie szczęście niestworzona;
Jeszcze w ojczyźnie ciche pędząc życie,
Nieraz w pośrodku towarzyszek grona
Za czémś tęskniłam i wzdychałam skrycie,
I czułam serca niespokojne bicie.
Nieraz s poziomej uciekałam łąki,
I na najwyższym stanąwszy pagórku,
Myśliłam sobie, gdyby te skowronki
Ze skrzydeł swoich dały mi po piórku,
Poszłabym z niémi, i tylko z téj góry
Chciałabym jeden mały kwiat uszczyknąć,
Kwiat niezabudki, a potém za chmury
Lecieć wysoko! wysoko! — i zniknąć.
Tyś mię wysłuchał, ty, skrzydły orlemi,
Monarcho ptaków, wzniosłeś mię do siebie.
Teraz, skowronki, o nic was nie proszę;
Bo gdzież mam leciéć, po jakie roskosze:
Kto poznał Boga wielkiego na niebie
I kochał męża wielkiego na ziemi?

KONRAD.

«Wielkość! i znowu wielkość, mój aniele!
Wielkość, dla któréj jęczymy w niedoli.
Kilka dni jeszcze niech serce przeboli,
Kilka dni tylko, już ich tak niewiele.
Stało się! próżno po czasie żałować!
Płaczmy, — lecz niechaj drżą nieprzyjaciele,
Bo Konrad płakał ażeby mordować.
Pocoś tu przyszła, po co moja droga!
S klasztornych murów, z świątyni pokoju?
Jam cię poświęcił na usługi Boga;
Nie lepiejż było w świętych jego murach,
Zdala odemnie płakać i umierać;
Niż tu w krainie kłamstwa i rozboju,
W grobowéj wieży, w powolnych torturach
Konać, i oczy samotne otwierać;
I przez niezłomne téj kraty okucia
Pomocy żebrać? A ja słuchać muszę,
Patrzeć na długą skonania katuszę,
Stojąc zdaleka, i kląć moją duszę,
Że w niéj są jeszcze ostatki uczucia.»

GŁOS Z WIEŻY.

«Jeśli narzekasz, nie przychodź tu więcéj!
Chociażbyś przyszedł, błagał najgoręcéj,

Już nie usłyszysz! już okno zamykam,
Spuszczę się znowu w moję wieżę ciemną,
Niechaj w milczeniu gorzkie łzy połykam.
Bądź zdrów na wieki, bądź zdrów, mój jedyny!
I niech zaginie pamięć téj godziny,
W któréj nie miałeś litości nademną.»

KONRAD.

«Więc ty miéj litość, ty jesteś aniołem!
Stój, a jeżeli prośba cię nie wstrzyma,
O ten róg wieży uderzę się czołem,
Będę cię błagał skonaniem Kaima.»

GŁOS Z WIEŻY.

«O miejmy litość nad sobą samemi!
Pomnij, mój luby, że jak ten świat wielki,
Dwoje nas tylko na ogromnéj ziemi,
Na morzach piasku dwie rosy kropelki;
Że lada wietrzyk, z ziemnego padołu
Znikniem na zawsze; ach! gińmyż pospołu.
Nie nato przyszłam, ażeby cię dręczyć;
Nie chciałam przyjąć święcenia kapłanek,
Bo niebu serca nie śmiałam zaręczyć,
Póki w niém ziemski panował kochanek;
Pragnęłam zostać w klasztorze i skromnie

Oddać dni moje zakonnic usłudze;
Lecz tam bez ciebie wszystko w około mnie,
Było tak nowe, tak dzikie, tak cudze.
Wspomniałam sobie, że po latach wielu,
Miałeś powrócić do Maryi-grodu,
Szukając zemsty na nieprzyjacielu
I broniąc sprawy biédnego narodu.
Kto czeka, lata myślami ukraca,
Mówiłam sobie, on już może wraca,
Może już wrócił; czyż nie wolno żądać,
Gdy mam żyjąca zakopać się w grobie,
Abym cię mogła raz jeszcze oglądać,
Abym przynajmniéj umarła przy tobie.
Pójdę więc, rzekłam, w pustelniczym domku,
Około drogi, na skały ułomku,
Zamknę się sama, może rycerz jaki
Koło méj chatki przechodzący blisko,
Wymówi czasem kochanka nazwisko;
Może pomiędzy obcémi szyszaki
Ujrzę znak jego; niech odmieni zbroje,
Niechaj na tarczy obce godła kładnie,
Niech twarz odmieni, jeszcze serce moje,
Zdaleka nawet, kochanka odgadnie.
I gdy go ciężka powinność przymusza
Wszystko do koła wyniszczać i krwawić,
Wszyscy go przeklną, będzie jedna dusza,

Co mu zdaleka śmié pobłogosławic!
Tu mój obrałam domek i grobowiec,
W cichéj ustroni, kędy świętokradzki
Mych jęków nie śmié podsłuchać wędrowiec.
Ty, wiém, że lubisz samotne przechadzki,
Myśliłam sobie, on może z wieczora
Wybieży zdala od swych towarzyszy;
Pomówić z wiatrem i s falą jeziora,
Pomyśli o mnie i głos mój usłyszy.
Niebo spełniło niewinne życzenia;
Przyszedłeś, moje zrozumiałeś pienia.
Dawniéj prosiłam, by mię twym obrazem
Sny pocieszały, choć obraz był niemy;
Dziś ile szczęścia! dziś możemy razem —
Razem zapłakać....»

KONRAD.

«I cóż wypłaczemy?
Płakałem, pomnisz, kiedy się wydarłem
Na wieki wieków s twojego objęcia,
Gdy dobrowolnie dla szczęścia umarłem,
Ażeby krwawe spełnić przedsięwzięcia.
Już uwieńczone zbyt długie męczeństwo,
Teraz stanąłem u życzeń mych celu,
Mogę się zemścić na nieprzyjacielu;

A ty mi przyszłąś wydzierać zwycięstwo.
Odtąd jak znowu z okna twéj wieżycy
Spojrzałaś na mnie, w całym kręgu świata
Znowu nic nie ma dla mojéj źrenicy,
Tylko jezioro i wieża i krata.
Wkoło mnie wszystko wre wojny rozruchem;
Śród trąb odgłosu, śród oręża szczęku,
Ja niecierpliwém, wytężoném uchem
Szukam ust twoich anielskiego dźwięku,
I dzień mój cały jest oczekiwaniem,
A gdy wieczornéj doczekam się pory,
Chcę ją przedłużyć rospamiętywaniem.
Ja życie moje liczę na wieczory,
Tymczasem Zakon spoczynkowi łaje,
O wojnę prosi, własnéj żąda zguby,
I mściwy Halban wytchnąć mi nie daje:
Albo dawniejsze przypomina śluby,
Wyrznięte sioła i zniszczone kraje;
Albo gdy nie chcę skargi jego słuchać,
Jedném westchnieniem, skinieniem, oczyma,
Umie przygasłą chęć zemsty rozdmuchać.
Wyrok mój zda się przybliżać do końca,
Nic już Krzyżaków od wojny nie wstrzyma.
Wczoraśmy z Rzymu odebrali gońca,
Z różnych stron świata niezliczone chmury
Pobożny zapał w pole nagromadził,

Wszyscy wołają, abym ich prowadził
Z mieczem i krzyżem na Wileńskie mury.
A przecież, — wyznam ze wstydem! w téj chwili,
Kiedy się ważą narodów wyroki,
Myślę o tobie, wynajduję zwłoki,
Żebyśmy jeszcze dzień jeden przeżyli.
Młodości! jakże wielkie twe ofiary!
Jam miłość, szczęście, jam niebo za młodu
Umiał poświęcić dla sprawy narodu,
Z żalem lecz z męstwem — a dzisiaj ja stary,
Dzisiaj powinność, rospacz, wola Boża
Pędzą mię w pole! a ja siwéj głowy
Nie śmiem oderwać od tych ścian podnoża,
Ażeby twojéj nie stracić — rozmowy!....»

Umilknął; z wieży słychać tylko jęki:
W milczeniu długie przeciekły godziny,
Noc rozrzedniała, i promyk jutrzeńki
Już zarumienił lica cichéj wody;
Pomiędzy liściem drzémiącéj krzewiny
Ze szmerem ranne przewiewały chłody,
Ptaszęta cichém ozwały się pieniem,
Umilkły znowu, — i długiém milczeniem
Znać dają, że się zbudziły zawcześnie.
Konrad powstaje, wzniósł ku wieży czoło,
Długo na kratę poglądał boleśnie;

Słowik zanucił: Konrad na około
Spojrzał, już ranek; — opuścił przyłbicę,
W szerokie zwoje płaszcza twarz obwinął,
Skinieniem ręki żegna pustelnicę,
I w krzakach zginął.
Tak duch piekielny od wrót pustelnika
Na odgłos dzwonu porannego znika.

IV.

UCZTA.

Był dzień patrona, uroczyste święto,
Komtury z braćmi do stolicy jadą,
Białe chorągwie na wieżach zatknięto.
Konrad rycerzy ma uczcić biesiadą.

Sto białych płaszczów powiewa za stołem,
Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi;
To byli bracia, a za nimi kołem
Młodzi giermkowie stoją dla posługi.

Konrad na czele, po lewicy tronu
Wziął miejsce Witołd ze swémi hetmany:
Dawniéj był wrogiem, dziś gościem Zakonu,
Przeciwko Litwie sojuszem związany.

Już Mistrz powstawszy daje uczty hasło,
« Cieszmy się w Panu! » wnet puhary błysły.
« Cieszmy się w Panu! » tysiąc głosów wrzasło,
Srebra zabrzmiały, strugi wina trysły.

Wallenrod usiadł, i na łokciu wsparty
Słuchał s pogardą nieprzystojnych gwarów;
Umilkła wrzawa, ledwie ciche żarty
Gdzieniegdzie przerwą lekki dźwięk puharów.

« Cieszmy się; rzecze, cóżto bracia moi,
Także rycerzom cieszyć się przystoi?
Zrazu wrzask pjany a teraz szmer cichy,
Mamyż ucztować jak zbójce lub mnichy?

Inne zwyczaje były za mych czasów,
Kiedy na pełném trupów bojowisku:
Śród gór Kastylskich lub Finlandzkich lasów,
Przy obozowém piliśmy ognisku.

Tam były pieśni: między waszym gminem
Czyż nie ma barda albo menestrela?
Serce człowieka wino rozwesela,
Ale piosenka jest dla myśli winem. »

Zarazem różni śpiewacy powstali;
Tam Włoch otyły słowiczemi tony
Konrada męstwo i pobożność chwali;
Owdzie trubadur od brzegów Garony
Opiewa dzieje miłośnych pasterzy,
Zaklętych dziewic, i błędnych rycerzy.

Wallenrod drzemał, piosenki ustały,
Nagle zbudzony przerwanym łoskotem,
Cisnął Włochowi trzos ładowny złotem:
« Mnie, rzekł, jednemu śpiewałeś pochwały,
Jeden nie może dać innéj nagrody.
Weź i pójdź z oczu; ów trubadur młody,
Który piękności i miłości służy,
Niechaj daruje, że w rycerskiém gronie
Dziewicy nie masz, coby mu na łonie
Wdzięczna przypięła marny kwiatek róży.

« Tu róże zwiędły, innego chcę barda,
Zakonnik rycerz innéj chcę piosenki;
Niechaj mi będzie tak dzika i twarda
Jak hałas rogów i oręża szczęki,
I tak ponura jak klasztorne ściany,
I tak ognista jak samotnik pjany.

« Dla nas, co święcim i mordujem ludzi,
Mordercza piosnka niech świętość ogłasza,
Niechaj rosczula i gniewa i nudzi;
I znowu niechaj znudzonych przestrasza.
Takie jest życie — taka piosnka nasza.
Kto ją zaśpiewa? kto?» — «Ja.» odpowiedział
Sędziwy starzec, który u podwojów
Między giermkami i paziami siedział,
Prusak czy Litwin, jak widać ze strojów:
Brodę miał gęstą wiekiem ubieloną,
Głowę obwiewa ostatek siwizny,
Czoło i oczy zakryte zasłoną,
W twarzy wyryte lat i cierpień blizny.

W prawicy starą lutnię pruską nosił,
A lewą rękę wyciągał do stoła,
I tém skinieniem posłuchania prosił.
Ucichli wszyscy. — « Ja śpiewam, zawoła.
Dawniéj Prusakom i Litwie śpiewałem,
Dziś jedni legli w ojczyzny obronie,
Drudzy, żyć nie chcąc po ojczyzny zgonie
Dobić się wolą nad jéj martwém ciałem;
Jak sługi wierne w dobrym i złym losie
Giną na swego dobroczyńcy stosie.
Inni sromotnie po lasach się kryją,
Inni, jak Witołd, między wami żyją.

« Ale po śmierci, Niemcy wy to wiecie,
Sami spytajcie niecnych zdrajców kraju,
Co oni poczną, gdy na tamtym świecie
Wskazani wiecznym ogniom na pożarcie
Zechcą swych przodków wywoływać z raju,
Jakim językiem poproszą o wsparcie?
Czy w ich niemieckiéj barbarzyńskiéj mowie
Głos dzieci swoich uznają przodkowie?

« O dzieci, jaka na Litwę sromota,
Żaden mi żaden nie przyniósł obrony,
Gdy od ołtarza stary Wajdelota
Byłem w niemieckich kajdanach wleczony.
Samotny w obcéj ziemi zestarzałem
Śpiewak niestety! śpiewać nie mam komu;
Na Litwę patrząc oczy wypłakałem.
Dzisiaj jeżeli chcę westchnąć do domu,
Nie wiem gdzie leży mój dom ulubiony,
Czy tam, czy ówdzie, czyli s tamtéj strony.

« Tu tylko w sercu, tu się ochroniło,
Co w méj ojczyźnie najlepszego było.
I te ubogie dawnych skarbów szczątki
Weźcie mi Niemcy, weźcie mi pamiątki.

« Jak zwyciężony rycerz na igrzysku

Zachowa życie, ale cześć utraca,
I dni wzgardzone wlekąc w pośmiewisku,
Znowu do swego zwycięzcy powraca,
I raz ostatni wytężając ramie,
Broń swą pod jego stopami rozłamie:

« Tak mię ostatnia natchnęła ochota,
Jeszcze do lutni ośmieliłem rękę,
Niech wam ostatni w Litwie Wajdelota
Nóci ostatnią litewską piosenkę. »

Skończył, i czekał Mistrza odpowiedzi,
Czekają wszyscy w milczeniu głębokiém,
Konrad badawczém i szyderczém okiem
Witołda liców i poruszeń śledzi.

Postrzegli wszyscy, kiedy Wajdelota
Mówił o zdrajcach, jak się Witołd mienił,
Zsiniał, pobladnął, znowu się czerwienił,
Dręczy go równie i gniew i sromota;
Nakoniec szablę ściskając u boku,
Idzie, zdziwioną gromadę rostrąca,
Spójrzał na starca, zahamował kroku,
I chmura gniewu nad czołem wisząca,
Opadła nagle w bystrym łez potoku;

Powrócił, usiadł, płaszczem twarz zasłania,
I w tajemnicze utonął dumania.

A Niemcy ścicha — « Czyliż do biesiady
Przypuszczać mamy żebrające dziady?
Kto słucha pieśni, i kto je rozumie? »
Takie odgłosy w biesiadniczym tłumie
Coraz żywszemi przerywano śmiechy;
Paziowie krzyczą, świstając w orzechy,
« Oto jest nóta litewskiego śpiewu. »

W tém Konrad powstał: « Waleczni rycerze,
Dziś Zakon, wedle starego zwyczaju,
Od miast i xiążąt podarunki bierze;
Jak winne hołdy s podległego kraju,
Żebrak wam piosnkę przynosi w ofierze;
Złożenia hołdu nie brońmy starcowi,
Weźmijmy piosnkę, będzie to grosz wdowi.

« Pośród nas widzim xiążęcia Litwinów,
Gośćmi Zakonu są jego wodzowie,
Miło im będzie pamięć dawnych czynów
Słyszeć, w ojczystéj odświeżoną mowie;
Kto nie rozumie, niechaj się oddali,
Ja czasem lubię te posępne jęki,
Niezrozumiałéj litewskiéj piosenki;

Jak lubię łoskot rozhukanéj fali,
Albo szmer cichy wiosennego deszczu,
Przy nich spać miło — śpiewaj stary wieszczu.»

PIEŚŃ WAJDELOTY.

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
Jéj przyjście wieszcza odgadnie źrenica;
Bo jeśli słuszna wajdelotom wierzyć,
Nieraz na pustych cmętarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewica,
W bieliźnie, z wiankiem ognistym na skroniach,
Czołem przenosi białowieskie drzewa,
A w ręku chustką skrwawioną powiewa.

Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,
A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,
Kopią, śmierć wietrzą, i okropnie wyją.

Dziewica stąpa kroki złowieszczemi,
Na sioła, zamki i bogate miasta;
A ile razy krwawą chustką skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynie;
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

Zgubne zjawisko! — ale więcéj zguby
Wróżył Litwinom od niemieckiéj strony
Szyszak błyszczący ze strusiemi czuby,
I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony.

Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczém jest klęska wiosek albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła.
Ach! kto litewską duszę mógł ochronić,
Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów,
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić.

O wieści gminna, ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty:
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę, i swych uczuć kwiaty.

Arko! tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy;
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskiemi skrzydłami i głosem —
Ty czasem dzierżysz i broń archanioła.

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,

Pieśń ujdzie cało, tłum ludzi obiega;
A jeźli podłe dusze nie umieją
Karmić ją żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry, do gruzów przylega,
I stamtąd dawne opowiada czasy.
Tak słowik z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiądzie na dachu:
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy,
I brzmiącą piersią na zgliszcza i groby
Nóci podróżnym piosenkę żałoby.

Słuchałem piosnek — nieraz kmieć stoletni,
Trącając kości żelazem oraczem,
Stanął, i zagrał na wierzbowéj fletni
Pacierz umarłych; lub rymownym płaczem
Was głosił, wielcy ojcowie — bezdzietni.
Echa mu wtórzą, ja słuchałem zdala,
Tém mocniéj widok i piosnka rozżala:
Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

Jako w dzień sądny z grobowca wywoła
Umarłą przeszłość trąba archanioła,
Tak na dźwięk pieśni, kości s pod méj stopy
W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.
Z gruzów powstają kolumny i stropy,
Jeziora puste brzmią licznemi wiosły,

I widać zamków otwarte podwoje,
Korony xiążąt, wojowników zbroje,
Śpiewają wieszcze, tańczy dziewic grono —
Marzyłem cudnie, srodze mię zbudzono!

Zniknęły lasy i ojczyste góry.
Myśl znużonemi ulatując pióry
Spada, w domową tuli się zaciszę,
Lutnia umilkła w otrętwiałém ręku;
Śród żałośnego spółrodaków jęku
Często przeszłości głosu nie dosłyszę!
Lecz dotąd iskry młodego zapału
Tlą w głębi piersi, nieraz ogień wzniecą,
Duszę ożywią, i pamięć oświecą.
Pamięć naówczas, jak lampa s kryształu,
Ubrana pędzlem w malowne obrazy,
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
Jeżeli świecznik postawisz w jéj serce,
Jeszcze świeżością barwy znęci oczy,
Jeszcze na ścianach pałacu rostoczy
Kraśne acz nieco przyćmione kobierce.

Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów, i wskrzesić postaci
Zmarłéj przeszłości: gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do serca spółbraci;

Możeby jeszcze w téj jedynéj chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,
I chwilę jednę tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.

Lecz poco zbiegłe wywoływać wieki?
I swoich czasów śpiewak nie obwini,
Bo jest mąż wielki, żywy, niedaleki,
O nim zaśpiewam, uczcie się Litwini!

* * *

Umilknął starzec i dokoła słucha,
Czy Niemcy daléj pozwolą mu śpiewać;
W sali dokoła była cichość głucha,
Ta zwykła wieszczów nanowo zagrzewać.
Zaczął więc piosnkę, ale innéj treści,
Bo głos na spadki wolniejsze rozmierzał,
Po strónach słabiéj i rzadziéj uderzał,
I z hymnu stąpił do prostéj powieści.

POWIEŚĆ WAJDELOTY.

Skąd Litwini wracali? Z nocnéj wracali wy-
cieczki,
Wieźli łupy bogate w zamkach i cerkwiach
zdobyte,
Tłumy brańców niemieckich s powiązanemi rę-
kami,
Ze stryczkami na szyjach, biegą przy koniach
zwycięzców,
Poglądają ku Prusom i zalewają się łzami,
Poglądają na Kowno — i polecają się Bogu
W mieście Kownie pośrodku ciągnie się błonie
Peruna,
Tam xiążęta Litewscy, gdy po zycięstwie wra-
cają,
Zwykli rycerzy niemieckich palić na stosie
ofiarnym.
Dwaj rycerze pojmani jadąlbez trwogi do Kowna,
Jeden młody i piękny, drugi latami schylony;
Oni sami śród bitwy hufce niemieckie rzuciwszy
Między Litwinów uciekli, xiąże Kiejstut ich
przyjął;
Ale strażą otoczył, w zamek za sobą prowadził.
Pyta z jakiéj krainy, w jakich zamiarach przybyli.

«Nie wiem, rzecze młodzieniec, jaki mój ród i nazwisko,
Bo dziecięciem od Niemców byłem w niewolą schwytany.
Pomnę tylko że kędyś w Litwie śród miasta wielkiego
Stał dom moich rodziców; było to miasto drewniane,
Na pagórkach wzniosłych, dom był s cegły czerwonéj.
Wkoło pagórków na błoniach puszcza szumiała jodłowa,
Środkiem lasów daleko białe błyszczało jezioro.
Razu jednego w nocy wrzask nas ze snu przebudził,
Dzień ognisty zaświecił w okna, trzaskały się szyby,
Kłęby dymu buchnęły po gmachu, wybiegliśmy w bramę,
Płomień wiał po ulicach, iskry sypały się gradem,
Krzyk okropny: do broni! Niemcy są w mieście, do broni!
Ojciec wypadł z orężem, wypadł i więcéj nie wrócił.
Niemcy wpadli do domu, jeden wypuścił się za mną,

Zgonił, porwał mię na koń; niewiem co stało
się daléj,
Tylko krzyk mojéj matki długo długo słyszałem.
Pośród szczęku oręża, domów runących łoskotu,
Krzyk ten ścigał mię długo, krzyk ten pozostał
w mém uchu;
Teraz jeszcze gdy widzę pożar i słyszę wołania,
Krzyk ten budzi się w duszy, jako echo w jaskini
Za odgłosem piorunu; oto jest wszystko co
z Litwy,
Co od rodziców wywiozłem. W sennych nie-
kiedy marzeniach
Widzę postać szanowną matki i ojca i braci,
Ale coraz to daléj jakaś mgła tajemnicza
Coraz grubsza, i coraz ciemniéj zasłania ich
rysy.
Lata dzieciństwa płynęły, żyłem śród Niemców
jak Niemiec,
Miałem imie Waltera, Alfa nazwisko przydano;
Imię było niemieckie, dusza litewska została,
Został żal po rodzinie, ku cudzoziemcom nie-
nawiść.
Winrych mistrz Krzyżacki chował mię w swoim
pałacu,
On sam do chrztu mię trzymał, kochał i pieścił
jak syna.

Jam się nudził w pałacach, s kolan Winrycha uciekał
Do wajdeloty starego. Wówczas pomiędzy Niemcami
Był wajdelota litewski wzięty w niewolą przed laty,
Służył tłumaczem wojsku, ten się o mnie dowiedział,
Żem sierota i Litwin, często mię wabił do siebie,
Rospowiadał o Litwie, duszę stęsknioną otrzeźwiał
Pieszczotami i dźwiękiem mowy ojczystéj i pieśnią.
On mnie często ku brzegom Niemna sinego prowadził,
Stamtąd lubiłem na miłe góry ojczyste poglądać.
Gdyśmy do zamku wracali, starzec łzy mi ocierał,
Aby niewzbudzić podejrzeń; łzy mi ocierał, a zemstę
Przeciw Niemcom podniecał. Pomnę jak w zamek wróciwszy
Nóż ostrzyłem tajemnie; z jaką zemsty roskoszą
Rznąłem kobierce Winrycha lub kaleczyłem zwierciadła,

Na tarcz jego błyszczącą piasek miotałem i
plwałem.
Potém w łatach młodzieńczych częstośmy z por-
tu Kłejpedy
W łódkę ze starcem siadali brzegi litewskie od-
wiedzać.
Rwałem kwiaty ojczyste! a czarodziejska ich
wonia
Tchnęła w duszę jakoweś dawne i ciemne wspo-
mnienia.
Upojony tą wonią zdało się że dzieciniałem,
Że w ogrodzie rodziców z braćmi igrałem ma-
łémi.
Starzec pomagał pamięci; on piękniejszemi sło-
wami
Niźli zioła i kwiaty, przeszłość szczęśliwą ma-
lował:
Jakby miło w ojczyźnie, pośród przyjaciół i kre-
wnych
Pędzić chwile młodości; ileżto dzieci litewskich
Szczęścia takiego nie znają płacząc w kajdanach
Zakonu.
To słyszałem na błoniach; lecz na wybrzeżach
Połągi,
Gdzie grzmiącemi piersiami białe rostrąca się
morze,

I s pienistéj gardzieli piasku strumienie wylewa:
Widzisz, mawiał mi starzec, łąki nadbrzeżnéj kobierce,
Już je piasek obleciał; widzisz te zioła pachnące,
Czołem silą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie,
Ach! daremnie, bo nowa żwiru nasuwa się hydra,
Białe płetwy rostacza, lądy żyjące podbija,
I rosciąga dokoła dzikiéj królestwo pustyni.
Synu, plony wiosenne żywo do grobu wtrącone,
To są ludy podbite, bracia to nasi Litwini;
Synu, piaski z zamorza burzą pędzone — to Zakon.
Serce bolało słuchając, chciałem mordować Krzyżaków,
Albo do Litwy uciekać; starzec hamował zapędy,
Wolnym rycerzom, powiadał, wolno wybierać oręże,
I na polu otwartém bić się równemi siłami;
Zostań jeszcze i przyjmij sztuki wojenne od Niemców,
Staraj się zyskać ich ufność, daléj obaczym co począć.
Byłem posłuszny starcowi, szedłem z wojskami Teutonów,

Ale w pierwszéj potyczce ledwiem obaczył cho-
rągwie,
Ledwiem narodu mojego pieśni wojenne usłyszał,
Poskoczyłem ku naszym, starca za sobą przy-
wodzę.
Jako sokoł wydarty z gniazda i w klatce żywiony,
Choć srogiemi mękami łowcy odbiorą mu rozum,
I puszczą, żeby braci sokołów wojował,
Skoro wzniesie się w chmury, skoro pociągnie
oczyma
Po niezmiernych obszarach swéj błękitnéj oj-
czyzny,
Wolném odetchnie powietrzem, szelest swych
skrzydeł usłyszy;
Pójdź myśliwcze do domu, s klatką nie czekaj
sokoła. »

Skończył młodzieniec; a Kiejstut słuchał cie-
kawie, słuchała
Córa Kiejstuta Aldona, młoda i piękna jak bóstwo.
Jesień płynie, z jesienią ciągną się długie wie-
czory;
Kiejstutówna jak zwykle w sióstr i rówiennic or-
szaku
Za krośnami usiada, albo się bawi przędziwem;
A gdy igły migocą, toczą się chybkie wrzeciona,

Walter stoi i prawi cuda o krajach niemieckich,
I o swojéj młodości. Wszystko, co Walter po-
wiadał,
Łowi uchem dziewica, myślą łakomą połyka;
Wszystko umie na pamięć, nieraz i we śnie po-
wtarza.
Walter mówił jak wielkie zamki i miasta za Nie-
mnem,
Jakie bogate ubiory, jakie wspaniałe zabawy,
Jak na gonitwach waleczni kopije kruszą rycerze,
A dziewice s krużganków patrzą i wieńce przy-
znają.
Walter mówił o wielkim Bogu, co włada za Nie-
mnem,
I o Niepokalanéj Syna Bożego Rodzicy,
Któréj postać anielską w cudnym pokazał
obrasku.
Ten obrazek młodzieniec nosił pobożnie na
piersiach:
Dziś Litwince darował, gdy ją do wiary nawracał,
Gdy pacierze z nią mówił; chciał wszystkiego
nauczyć,
Co sam umiał; niestety, on ją i tego nauczył,
Czego dotąd nie umiał; on nauczył ją kochać.
I sam uczuł się wiele; z jakiém roskosznem
wzruszeniem

Słyszał z ust jéj litewskie już zapomniane wyrazy.
S każdym wskrzeszonym wyrazem budzi się nowe uczucie
Jako iskra s popiołu; były to słodkie imiona
Pokrewieństwa, przyjaźni, słodkiéj przyjaźni, i jeszcze.
Słodszy wyraz nad wszystko, wyraz miłości, któremu
Nie masz równego na ziemi, oprócz wyrazu — Ojczyzna.

Skądże, pomyślał Kiejstut, nagła w méj córce odmiana,
Gdzie jéj dawna wesołość, gdzie jéj dziecinne rozrywki?
W święto wszystkie dziewice idą zabawiać się tańcem,
Ona siedzi samotna, albo z Walterem rozmawia.
W dzień powszedni dziewice trudnią się igłą lub krośną,
Jéj z rąk igła wypada, nici plątają się w krośnach,
Sama niewidzi co robi, wszyscy mi to powiadają.
Wczora postrzegłem, że róży kwiatek wyszyła zielono,
A listeczki czerwonym umalowała jedwabiem.
Jakże mogłaby widzieć, kiedy jéj oczy i myśli

Tylko oczu Waltera, rozmów Waltera szukają.
Ile razy zapytam, gdzie ona poszła? w dolinę;
Skąd powraca? z doliny; cóż w téj dolinie? młodzieniec
Ogród dla niéj zasadził. Jestże ten ogród pięknie-
jszy
Niźli me sady zamkowe (pyszne Kiejstut miał sady,
Pełne jabłek i gruszek, dziewic kowieńskich ponęta).
Nie ogródek to wabi; zimą widziałem jéj okna,
Cała szyba tych okien, co obrócone do Niemna,
Czysta jakby śród maja, lód niezaciemił kryształu;
Walter chodzi tamtędy, pewnie siedziała u okna
I gorącém westchnieniem lody na szybach stopiła.
Ja myśliłem, że on ją czytać i pisać nauczy,
Słysząc że wszyscy xiążęta dzieci swe uczyć zaczęli;
Chłopiec dobry, waleczny, jak ksiądz w pismach ćwiczony,
Mamże go z domu wypędzić? on tak potrzebny dla Litwy;
Hufce najlepiéj szykuje, sypie najlepiéj okopy,

Broń piorunową urządza, jeden mi staje za wojsko.
Pójdź Walterze, bądź zięciem moim i bij się za Litwę.

Walter pojął Aldonę — Niemcy, wy pewnie myślicie,
Że tu koniec powieści; w waszych miłośnych romansach
Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur piosenkę,
Tylko dodaje, że żyli długo i byli szczęśliwi.
Walter kochał swą żonę, lecz miał duszę szlachetną;
Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyznie.

Ledwie śniegi ponikły, pierwszy zanócił skowronek,
Innym krajom skowronek miłość i roskosz obwieszcza,
Biednéj Litwie co roku wróży pożary i rzezie;
Ciągną szeregi krzyżowe niezliczonemi tłumami,
Już od gór zaniemeńskich echo do Kowna zanosi
Wojska mnogiego hałasy, chrzęst zbrój, rżenia rumaków.

Jak mgła spuszcza się obóz, błonia szeroko zalega,
Tu i ówdzie migocą straży naczelnych proporce,
Jak łyskania przed burzą. Niemcy stanęli na brzegu,
Mosty po Niemnie rzucili, Kowno do koła oblegli.
Dzień w dzień od taranów walą się mury i baszty,
Noc w noc miny burzące kopią się w ziemi jak krety,
Pod niebiosami ognistym unosi się bomba polotem,
I jak sokoł na ptaki z góry na dachy uderza.
Kowno w gruzy runęło; Litwa do Kiejdan uchodzi;
W gruzach runęły Kiejdany, Litwa po górach i lasach
Broni się; Niemcy daléj ciągną plądrując i paląc.
Kiejstut z Walterem pierwsi w bitwach, ostatni w odwrocie,
Kiejstut zawsze spokojny, od dzieciństwa przywyknął
Bić się z nieprzyjacielem, wpadać, zwyciężać, uciekać.
Wiedział, że jego przodkowie zawsze z Niemcami walczyli;

Idąc w ślady swych przodków bił się i niedbał
o przyszłość.
Inne były Waltera myśli; chowany śród Niem-
ców,
Znał potęgę Zakonu; wiedział, że mistrza we-
zwanie
S całéj Europy wyciąga skarby, oręże i wojska.
Prusy broniły się niegdyś, starły Prusaków Teu-
tony.
Litwa pierwéj czy późniéj równéj ulegnie kolei;
Widział niedolę Prusaków, drżał nad przyszło-
ścią Litwinów.
« Synu, Kiejstut zawoła, zgubnym ty jesteś pro-
rokiem;
Z oczu mi zdarłeś zasłonę, aby otchłanie po-
kazać.
Kiedy ciebie słuchałem, zda się, że ręce osłabły,
I z nadzieją zwycięstwa s piersi uciekła odwaga.
Cóż poczniemy z Niemcami? » — « Ojcze, Walter
powiadał,
Wiém ja sposób jedyny, straszny, skuteczny
niestety!
Może kiedyś objawię. » Tak rozmawiali po bi-
twie,
Nim ich trąba ku nowym bitwom i klęskom we-
zwała.

Kiejstut coraz smutniejszy, Walter jak mocno zmieniony!
Dawniéj, chociaż nie bywał nigdy zbytecznie wesoły,
W chwilach nawet szczęśliwych lekki mrok zamyślania
Lice jego przysłaniał, ale w objęciach Aldony
Dawniéj miewał pogodne czoło i lice spokojne,
Zawsze ją witał uśmiechem, czułém pożegnał wejrzeniem.
Teraz zda się, że jakaś skryta dręczyła go boleść;
Cały ranek przed domem z założonemi rękami,
Patrzy na dymy płonących zdala miasteczek i wiosek,
Patrzy dzikiémi oczyma; w nocy porywa się ze snu,
I przez okno krwawą łunę pożarów uważa.
« Mężu drogi, co tobie? » pyta ze łzami Aldona;
— « Co mnie? będęż spokojnie drzémał, aż Niemcy napadną
I sennego związawszy w ręce katowskie oddadzą? »
— « Boże uchowaj, mężu! straże pilnują okopów. »
— « Prawda, straże pilnują, czuwam i szablę mam w ręku,

Ale kiedy wyginą straże, wyszczerbi się szabla...
Słuchaj, jeśli starości, nędznéj starości do-
żyję...»
—«Bóg nam zdarzy pociechę z dziatek» —«Wtém
Niemcy napadną,
Żonę zabiją, dzieci wydrą, uwiozą daleko,
I nauczą wypuszczać strzałę na ojca własnego.
Ja sam możebym ojca, możebym braci mordował,
Gdyby nie wajdelota.» — «Drogi Walterze
ujedźmy
Daléj w Litwę, skryjmy się w lasy i góry od
Niemców.»
— «My odjedziem, a inne matki i dzieci zo-
stawim.
Tak uciekali Prusacy, Niemiec ich w Litwie do-
gonił:
Jeśli nas w górach wyśledzi?» — «Znowu daléj
ujedziem.»
— «Daléj? daléj, nieszczęsna? daléj ujdziem za
Litwę?
W ręce Tatarów, lub Rusi?» Na tę odpowiedź
Aldona
Pomięszana milczała; jéj zdawało się dotąd,
Że ojczyzna jak świat długa, szeroka bez końca;
Pierwszy raz słyszy, że w Litwie całéj niebyło
schronienia,

Załamawszy ręce pyta Waltera: co począć?
— « Jeden sposób, Aldono, jeden pozostał Li-
twinom,
Skruszyć potęgę Zakonu; mnie ten sposób wia-
domy.
Lecz nie pytaj dla Boga! stokroć przeklęta go-
dzina,
W któréj od wrogów zmuszony chwycę się tego
sposobu. »
Więcéj nie chciał powiadać, próśb Aldony nie
słuchał,
Litwy tylko nieszczęścia słyszał i widział przed
sobą,
Aż nakoniec płomień zemsty, w milczeniu kar-
miony
Klęsk i cierpień widokiem, wzdął się i serce
ogarnął;
Wszystkie wytrawił uczucia, nawet jedyne
uczucie,
Dotąd mu żywot słodzące, nawet uczucie mi-
łości.
Tak u białowieskiego dębu, jeżeli myśliwi
Ogień tajemny wznieciwszy, rdzeń głęboko
wypalą,
Wkrótce lasów monarcha straci swe liście po-
wiewne,

Z wiatrem polecą gałęzie, nawet jedyna zie-
loność,
Dotąd mu czoło zdobiąca, uschnie korona je-
mioły.

Długo Litwini po zamkach, górach i lasach
błądzili,
Napadając na Niemców lub napadani wzajemnie.
Aż stoczyła się straszna bitwa na błoniach Ru-
dawy,
Gdzie kilkadziesiąt tysięcy młodzi litewskiéj po-
legło
Obok tyluż tysięcy wodzów i braci Krzyżowych.
Niemcom wkrótce posiłki świeże ciągnęły z za
morza;
Kiejstut i Walter z garstką mężów przebili się
w góry,
Z wyszczerbionemi szablami, z porąbanemi tar-
czami,
Kurzem, posoką okryci, weszli posępni do domu.
Walter nie spójrzał na żonę, słowa do niéj nie-
wyrzekł.
Po niemiecku z Kiejstutem i wajdelotą roz-
mawiał.
Nierozumiała Aldona, serce tylko wróżyło
Jakieś okropne wypadki: gdy zakończyli obradę,

Wszyscy trzéj ku Aldonie smutne zwrócili wejrzenie.
Walter patrzał najdłużéj z nieméj wyrazem rospaczy,
Wtém gęstemi kroplami łzy mu rzuciły się z oczu.
Upadł do nóg Aldony, ręce jéj cisnął do serca,
I przepraszał za wszystko, co ucierpiała dla niego.
« Biada, mówił, niewiastom, jeśli kochają szaleńców,
Których oko wybiegać lubi za wioski granice,
Których myśli jak dymy wiecznie nad dach ulatują,
Których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć.
Wielkie serca, Aldono, są jak ule zbyt wielkie,
Miód ich zapełnić nie może, stają się gniazdem jaszczurek.
Daruj luba Aldono! dzisiaj chcę w domu pozostać,
Dzisiaj o wszystkiém zapomnę, dzisiaj będziemy dla siebie,
Czém bywaliśmy dawniéj; jutro... » — i nie śmiał dokończyć.
Jaka radość Aldonie! zrazu myśli nieboga,
Że się Walter odmieni, będzie spokojny, wesoły,

Widzi go mniéj zamyślonym, w oczach więcéj
żywości,
W licach dostrzega rumieniec; Walter u nóg Al-
dony
Cały wieczór przepędził; Litwę, Krzyżaków i
wojnę
Rzucił na chwilę w niepamięć, mówił o czasach
szczęśliwych
Swego do Litwy przybycia, pierwszéj z Aldoną
rozmowy,
Pierwszéj w dolinę przechadzki, i o wszystkich
dziecinnych
Ale sercu pamiętnych pierwszéj miłości zda-
rzeniach.
Za cóż tak lube rozmowy słowem «jutro» prze-
rywa?
I zamyśla się znowu, długo na żonę pogląda,
Łzy mu kręcą się w oczach, chciałby coś wy-
rzec i nie śmie.
Czyliż dawne uczucia, szczęścia dawnego pa-
miątki
Na to tylko wywołał, aby się z niemi pożegnać?
Wszystkie rozmowy, wszystkie tego wieczora
pieszczoty,
Czyliż będą ostatnim blaskiem świecznika mi-
łości!...

Darmo się pytać, Aldona patrzy, czeka niepewna,
I wyszedłszy s komnaty jeszcze przez szpary pogląda.
Walter wino nalewał, mnogie wychylał puhary,
I wajdelotę starego na noc u siebie zatrzymał.

Słońce ledwie wschodziło, tętnią po bruku kopyta,
Dwaj rycerze s tumanem rannym spieszą się w góry.
Wszystkieby straże zmylili, jednéj nie mogli omylić.
Czujne są oczy kochanki, zgadła ucieczkę Aldona!
Drogę w dolinie zabiegła; smutne to było spotkanie.
« Wróć się, o luba, do domu; wróć się, ty będziesz szczęśliwa,
Może będziesz szczęśliwa, w lubéj rodziny objęciach;
Jesteś młoda i piękna, znajdziesz pociechę, zapomnisz!
Wielu xiążąt dawniéj o twą starało się rękę;
Jesteś wolna, jesteś wdową po wielkim człowieku,

Który dla dobra ojczyzny wyrzekł się — nawet i
ciebie!
Bywaj zdrowa, zapomnij; zapłacz niekiedy nade
mną:
Walter wszystko utracił, Walter sam jeden po-
został,
Jako wiatr na pustyni; błąkać się musi po świecie,
Zdradzać, mordować, i potém ginąć śmiercią
haniebną.
Ale po latach ubiegłych, imię Alfa na nowo
Zabrzmi w Litwie, i kiedyś z ust wajdelotów po-
słyszysz
Czyny jego; natenczas, luba, natenczas pomy-
ślisz,
Że ów rycerz straszliwy, chmurą tajemnic
okryty,
Jednéj tobie znajomy, twoim był kiedyś mał-
żonkiem;
I niech dumy uczucie będzie pociechą siero-
ctwa. »
Słucha w milczeniu Aldona, chociaż nie słyszy
ni słowa.
« Jedziesz, jedziesz! » krzyknęła, i zatrwożyła
się sama
Słowem jedziesz, to jedno słowo brzmiało
w jéj uchu;

Nic nie myśliła, o niczém pomnieć nie mogła:
jéj myśli,
Jéj pamiątki, jéj przyszłość, wszystko splątało
się tłumnie;
Ale sercem odgadła że niepodobna powracać,
Że niepodobna zapomnieć; oczy zbłąkane to-
czyła,
Kilka razy Waltera dzikie spotkała wejrzenie;
W tém wejrzeniu już dawniéj nie znajdowała
pociechy,
I zdawała się szukać czegoś nowego, i wkoło
Oglądała się znowu, wkoło pustynie i lasy;
W środku lasu samotna błyszczy za Niemnem
wieżyca,
Byłto klasztor zakonnic, chrześcijan smutna bu-
dowa,
Na téj wieżycy spoczęły oczy i myśli Aldony,
Jak gołąbek porwany wiatrem śród morskiéj to-
pieli
Pada na maszty samotne nieznajomego okrętu.
Walter zrozumiał Aldonę, udał się za nią w mil-
czeniu,
Opowiedział swój zamiar, taić przed światem
nakazał,
I u bramy — niestety! straszne to było roz-
stanie. —

Alf z wajdelotą pojechał; dotąd nic o nich nie słychać.
Biada, biada jeżeli dotąd nie spełnił przysięgi;
Jeśli zrzekłszy się szczęścia, szczęście Aldony zatruwszy...
Jeśli tyle poświęcił i dla niczego poświęcił...
Przyszłość resztę pokaże. Niemcy, skończyłem piosenkę....

Koniec już koniec — wielki szmer na sali,
I cóż ów Walter? jakie jego czyny?
Gdzie? nad kim zemsta? słuchacze wołali;
Mistrz tylko jeden śród szumnéj drużyny
Siedział milczący s pochyloną głową,
Mocno wzruszony, porywa co chwila
Puhary z winem i do dna wychyla.
W jego postaci zmianę widać nową,
Różne uczucia w nagłych błyskawicach
Po rospalonych krzyżują się licach.
Coraz to groźniéj czoło mu się chmurzy,
Usta drżą sine, obłąkane oczy
Latają niby jaskółki śród burzy,
Wreszcie płaszcz zrzuca i na środek skoczy:
« Gdzie koniec pieśni? wraz mi koniec śpiewaj,

Albo daj lutnię; czego drżący stoisz?
Podaj mi lutnię, puhary nalewaj,
Zaśpiewam koniec, jeśli ty się boisz.

« Znam ja was, każda piosnka wajdeloty
Nieszczęście wróży, jak nocnych psów wycie;
Mordy, pożogi wy śpiéwać lubicie,
Nam zostawiacie chwałę i zgryzoty.
Jeszcze w kolebce, wasza pieśń zdradziecka
Nakształt gadziny obwija pierś dziecka,
I wlewa w duszę najsroższe trucizny,
Głupią chęć sławy i miłość ojczyzny.

« Ona to idzie za młodzieńcem w ślady,
Jak zabitego cień nieprzyjaciela,
Zjawia się nieraz w pośrodku biesiady,
Aby krew mieszać w puhary wesela.
Słuchałem pieśni, za nadto niestety!...
Stało się, stało; znam cię zdrajco stary;
Wygrałeś! wojna, tryumf dla poety!
Dajcie mi wina, spełnią się zamiary!

« Wiem koniec pieśni, nie... zaśpiewam inną!
Kiedy walczyłem na górach Kastyli,
Tam mnie Maurowie ballady uczyli.
Starcze, graj nótę, tę nótę dziecinną,

Którą w dolinie... o! byłto czas błogi —
Na tę muzykę zwykłem zawsze nócić.
Wracajże starcze, bo przez wszystkie bogi
Niemieckie, pruskie..» — Starzec musiał wrócić,
Uderzył lutnię i głosem niepewnym
Szedł za dzikiémi tonami Konrada,
Jako niewolnik za swym panem gniewnym.

Tymczasem światła gasnęły na stole,
Rycerzy długa uśpiła biesiada;
Lecz Konrad śpiewa, budzą się na nowo,
Stają i w szczupłém ścisnąwszy się kole,
Pilnie zważają każde pieśni słowo.

BALLADA.

ALPUHARA.

Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza,
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy,
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary,
Jutro do szturmu uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły spiże,
Rwą się okopy, mur wali,
Już z minaretów błysnęły krzyże,
Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor widząc swe roty
Zbite w upornéj obronie,
Przerznął się między szable i groty,
Uciekł i zmylił pogonie.

Hiszpan na świeżéj zamku ruinie
Pomiędzy gruzy i trupy
Zastawia ucztę, kąpie się w winie,
Rozdziela brańce i łupy.

W tém straż oddźwierna wodzom donosi,
Że rycerz z obcéj krainy
O posłuchanie co rychléj prosi,
Ważne przywożąc nowiny.

Byłto Almanzor król muzułmanów,
Rzucił bespieczne ukrycie,
Sam się oddając w ręce Hiszpanów,
I tylko błaga o życie.

« Hiszpanie, woła, na waszym progu
Przychodzę czołem uderzyć,
Przychodzę służyć waszemu Bogu,
Waszym prorokom uwierzyć.

« Niechaj rozgłosi sława przed światem,
Że Arab, że król zwalczony,
Swoich zwycięzców chce zostać bratem,
Wassalem obcéj korony. »

Hiszpanie męstwo cenić umieją;
Gdy Almanzora poznali,
Wódz go uścisnął, inni koleją
Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
Wodza najczuléj uścisnął,
Objął za szyję, za ręce chwytał,
Na ustach jego zawisnął.

A w tém osłabnął, padł na kolana,
Ale rękami drżącemi
Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojrzał dokoła, wszystkich zadziwił,
Zbladłe, ssiniałe miał lice,
Śmiechem okropnym usta wykrzywił,
Krwią mu nabiegły źrenice.

« Patrzcie, o giaury! jam siny, blady,
Zgadnijcie, czyim ja posłem?
Jam was oszukał, wracam z Grenady,
Ja wam zarazę przyniosłem.

« Pocałowaniem wszczepiłem w duszę
Jad, co was będzie pożerać,
Pójdźcie i patrzcie na me katusze,
Wy tak musicie umierać. »

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona,
Chciałby uściśnieniem wieczném
Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona;
Śmieje się — śmiechem serdecznym.

Śmiał się — już skonał — jeszcze powieki
Jeszcze się usta nie zwarły,
I śmiech piekielny został na wieki
Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie trwożni z miasta uciekli,
Dżuma za nimi wślad biegła,
Z gór Alpuhary nim się wywlekli,
Reszta ich wojska poległa.

« Takto przed laty mścili się Maurowie,
Wy chcecie wiedzieć o zemście Litwina?
Cóż? jeśli kiedy uiści się w słowie,
I przyjdzie mieszać zarazę do wina...
Ale nie — o nie! — dziś inne zwyczaje;
Xiąże Witołdzie, dziś litewskie pany
Przychodzą własne oddawać nam kraje,
I zemsty szukać na swój lud znękany!

« Przecież nie wszyscy — o! nie, na Peruna!
Jeszcze są w Litwie — jeszcze wam zaśpiewam...
Precz mi s tą lutnią — zerwała się stróna,
Nie będzie pieśni — ale się spodziewam,
Że kiedyś będą... — dziś — zbytnie puhary...

Za nadto piłem — cieszcie się — i bawcie.
A ty Al.... manzor, — precz mi z oczu stary —
Precz mi z Albanem — samego zostawcie. »

Rzekł, i niepewną powracając drogą,
Znalazł swe miejsce, na krzesło się rzucił,
Jeszcze coś groził; uderzywszy nogą
Stół s puharami i winem wywrócił.
Nakoniec osłabł, głowa się schyliła
Na poręcz krzesła; wzrok po chwili gasnął,
I drżące usta piana mu okryła,
I zasnął.

Rycerze chwilę w zadumaniu stali,
Wiedzą o smutnym nałogu Konrada,
Że gdy się winem zbytecznie zapali,
W dzikie zapały, w besprzytomność wpada.
Ale na uczcie! publiczna sromota!
Przy obcych ludziach, w besprzykładnym gniewie!
Kto go podniecił? gdzie ów wajdelota?
Wymknął się s ciżby, i nikt o nim nie wie.

Były powieści że Halban przebrany
Litewską piosnkę Konradowi śpiewał,
Że tym sposobem znowu chrześcijany
Przeciw pogaństwu do wojny zagrzewał.

Ale skąd w Mistrzu tak nagle odmiany?
Za co się Witołd tak srodze rozgniewał?
Co znaczy Mistrza dziwaczna ballada?
Każdy w domysłach nadaremnie bada.

V.

WOJNA.

Wojna — już Konrad hamować nie zdoła
Zapędów ludu i nalegań rady;
Dawno już cały kraj o pomstę woła,
Za Litwy napaść i Witołda zdrady.

Witołd co wsparcia u Zakonu żebrał,
Dla odzyskania Wileńskiéj stolicy;
Teraz po uczcie, gdy wieści odebrał,
Że wkrótce ruszą w pole Krzyżownicy,
Zmienił zamiary, nową przyjaźń zdradził,
I swych rycerzy tajnie uprowadził.

W zamki Teutonów leżące po drodze,
Wszedł z wymyślonym od Mistrza roskazem,

A potém oręż wydarłszy załodze,
Wszystko wyniszczył ogniem i żelazem.
Zakon i wstydem i gniewem zagrzany,
Krzyżową wojnę podniósł na pogany.
Wychodzi bulla; morzem, lądem płyną
Nieprzeliczone wojowników roje,
Możni xiążęta, z wassalów drużyną,
Czerwonym krzyżem ozdabiają zbroje;
A każdy na to swe życie poślubił,
Aby pogaństwo ochrzcił — lub wygubił.

Poszli ku Litwie; i cóż tam sprawili?
Jeśliś ciekawy, wynidź na okopy,
Spójrzyj ku Litwie, gdy się dzień nachyli,
Zobaczysz łunę, co niebieskie stropy
Krwawym płomieni ruczajem obleje,
Oto są wojen napaśniczych dzieje;
Łacno je skreślić: rzeź, grabież, pożoga
I blask, co głupie rozwesela zgraje,
A w którym mędrzec z bojaźnią uznaje
Głos wołający o pomstę do Boga.

Wiatry pożogę coraz daléj niosły,
Rycerze daléj w głąb Litwy zabiegli,
Słychać, że Kowno, że Wilno oblegli;
W końcu ustały i wieści i posły.

Już w okolicy nie widać płomieni,
I niebo coraz daléj się czerwieni.
Darmo Prusacy s podbitéj krainy
Brańców i mnogich łupów wyglądają;
Darmo ślą częstych gońców po nowiny,
Śpieszą się gońcy, i — niepowracają.
Srogą niepewność gdy każdy tłumaczy,
Radby doczekać chociażby rospaczy.

Minęła jesień, zimowe zamieci
Huczą po górach, zawalają drogi,
I znowu zdala na niebiosach świeci
Północne zorze? czy wojny pożogi?
Coraz widoczniéj razi blask płomieni,
I niebo coraz bliżéj się czerwieni.

Z Marjenburga lud patrzy ku drodze,
Już widać zdala: — kopie się przez śniegi
Kilku podróżnych; — Konrad? nasi wodze?
Jakże ich witać? zwycięzce? czy zbiegi?
Gdzie reszta pułków? Konrad wzniosł prawicę,
Pokazał daléj ciżbę rosproszoną;
Ach! sam ich widok zdradził tajemnicę.
Biegą bezładnie, w zaspach śniegu toną;
Walą się, depcą jak podłe owady
W ciasném naczyniu ginące pospołu;

Pną się po trupach, nim nowe gromady
Dźwignionych znowu potrącą do dołu.
Ci jeszcze wleką otrętwiałe nogi,
Ci w biegu nagle przystygli do drogi;
Lecz ręce wznoszą, i stojące trupy
Wskazują w miasto jak podróżne słupy.

Lud wybiegł z miasta strwożony, ciekawy,
Lękał się zgadnąć, i o nic nie pytał,
Bo całe dzieje nieszczęsnéj wyprawy
W oczach i twarzach rycerzy wyczytał.
Nad ich oczyma mroźna śmierć wisiała,
Harpija głodu ich lica wyssała.
Tu słychać trąby litewskiéj pogoni:
Tam wicher toczy kłąb śniegu po błoni;
Opodal wyje chuda psów gromada,
A nad głowami krążą kruków stada.

Wszystko zginęło, Konrad wszystkich zgubił,
On, co z oręża takiéj nabył chwały;
On, co się dawniéj rostropnością chlubił;
W ostatniéj wojnie lękliwy, niedbały,
Witołda chytrych sideł niedostrzegał,
A oszukany, chęcią zemsty ślepy,
Zagnawszy wojsko na litewskie stepy,
Wilno tak długo, tak gnuśnie oblegał.

Kiedy strawiono dobytki i plony,
Gdy głód Niemieckie nawiedzał obozy,
A nieprzyjaciel w koło rosproszony
Niszczył posiłki, przecinał dowozy;
Codziennie z nędzy marły Niemców krocie,
Czas było szturmem położyć kres wojny,
Albo o rychłym zamyślać odwrocie;
Wtenczas Wallenrod ufny i spokojny
Jeździł na łowy, albo w swym namiocie
Zamknięty, knował tajemne układy,
I wodzów niechciał przypuszczać do rady.

I tak w zapale wojennym ostygnął,
Że ludu swego niewzruszony łzami,
Miecza na jego obronę nie dźwignął,
Z założonemi na piersiach rękami,
Cały dzień dumał, lub z Halbanem gadał.
Tymczasem zima nawaliła śniegi,
I Witołd świéże zebrawszy szeregi
Oblegał wojsko, na obóz napadał.
O hańbo w dziejach mężnego Zakonu!
Wielki Mistrz pierwszy uciekł s pola bitwy,
Zamiast wawrzynów i sutego plonu,
Przywiózł wiadomość o zwycięstwach Litwy.

Czyście widzieli, gdy s tego pogromu

Wojsko upiorów prowadził do domu?
Ponury smutek czoło jego mroczy,
Robak boleści wywijał się z lica;
I Konrad cierpiał — ale spojrzyj w oczy:
Ta wielka, napół otwarta źrenica
Jasne z ukosa miotała pociski,
Niby kometa grożący wojnami,
Co chwila zmienna, jak nocne połyski,
Któremi szatan podróżnego mami,
Wściekłość i radość połączając razem,
Błyszczała jakimś szatańskim wyrazem.

Drżał lud i szemrał, Konrad niedbał o to;
Zwołał na radę niechętnych rycerzy;
Spójrzał, przemówił, skinął — o sromoto!
Słuchają pilnie i każdy mu wierzy;
W błędach człowieka widzą sądy Boga,
Bo kogóż z ludzi nieprzekona — trwoga?

Stój, dumny władco! jest sąd i na ciebie.
W Marjenburgu wiém ja loch podziemny;
Tam, gdy noc miasto w ciemnościach zagrzebie,
Schodzi na radę trybunał tajemny.

Tam jedna lampa na podniebiu sali,
I w dzień i w nocy się pali;

Dwanaście krzeseł koło tronu stoi,
Na tronie ustaw xięga tajemnicza;
Dwunastu sędziów, każdy w czarnéj zbroi,
Wszystkich maskami zamknięte oblicza,
W lochach od gminnéj ukryli się zgrai,
A larwą jeden przed drugim się tai.

Wszyscy przysięgli dobrowolnie, zgodnie,
Karać potężnych swoich władców zbrodnie,
Nazbyt gorszące lub ukryte światu.
Skoro ostatnia uchwała zapadnie,
I rodzonemu nieprzepuszczą bratu;
Każdy powinien gwałtownie lub zdradnie,
Na potępionym dopełnić wyroku:
Sztylety w ręku, rapiéry u boku.

Jeden z maskowych zbliżył się do tronu,
I stojąc z mieczem przed xięgą Zakonu,
Rzekł: — « Straszliwi sędziowie!
Już nasze podejrzenie stwierdzone dowodem:
Człowiek, co się Konradem Wallenrodem zowie,
Nie jest Wallenrodem.
Kto on jest? niewiadomo; przed dwunastu laty
Niewiedzieć skąd przyjechał w nadreńskie krainy.
Kiedy hrabia Wallenrod szedł do Palestyny,
Był w orszaku hrabiego, nosił giermka szaty.

Wkrótce rycerz Wallenrod gdzieś bez wieści
zginął;
Ów giermek podejrzany o jego zabicie
S Palestyny uszedł skrycie,
I ku hiszpańskim brzegom zawinął.
Tam w potyczkach z Maurami dał męstwa dowody,
I na turniejach mnogie pozyskał nagrody,
A wszędzie pod imieniem Wallenroda słynął.
Przyjął nakoniec zakonnika śluby,
I został Mistrzem dla Zakonu zguby.
Jak rządził, wszyscy wiécie; téj ostatniéj zimy,
Kiedy z mrozem i głodem i z Litwą walczymy,
Konrad jeździł samotny w lasy i dąbrowy,
I tam miéwał z Witołdem tajemne rozmowy.
Szpiegowie moi dawno śledzą jego czynów,
Wieczorem pod narożną skryli się wieżycą,
Nie pojęli, co Konrad mówił s pustelnicą,
Lecz, sędziowie, on mówił językiem Litwinów.
Zważywszy, co nam tajnych sądów posły
Niedawno o tym człowieku doniosły,
I o czém świeżo mój szpieg donosi,
I wieść już ledwie nie publiczna głosi:
Sędziowie! ja na Mistrza zaskarżenie kładę
O fałsz, Zabójstwo, herezyą, zdradę. » —

Tu oskarżyciel przed Zakonu xięgą

Ukląkł, i wsparłszy się na krucifix rękę,
Prawdę doniesień zatwierdził przysięgą,
Na Boga, i na Zbawiciela mękę.

Umilkł. Sędziowie sprawę rostrząsają;
Lecz niéma głosów, ni cichéj rozmowy,
Ledwie rzut oka lub skinienie głowy
Jakąś głękoką, groźną myśl wydają.
Każdy z kolei zbliżał się do tronu,
Ostrzem sztyletu, na xiędze Zakonu
Karty przerzucał, prawa cicho czytał,
O zdanie tylko sumienia zapytał,
Osądził, rękę do serca przykłada,
I wszyscy zgodnie zawołali: — biada!
I trzykroć echém powtórzyły mury:
Biada! — W tém jedném, jedném tylko słowie
Jest cały wyrok; — pojęli sędziowie,
Dwanaście mieczów podnieśli do góry
Wszystkie zmierzone — W jednę pierś Konrada.
Wyszli w milczeniu, a jeszcze raz mury
Echem za nimi powtórzyły: — biada!

VI.

POŻEGNANIE.

Zimowy ranek — wichrzy się i śnieży;
Wallenrod leci śród wichrów i śniegów,
Zaledwie stanął u jeziora brzegów;
Woła i mieczem bije w ściany wieży.
« Aldono, woła, żyjemy Aldono!
Twój miły wraca, wypełnione śluby,
Oni zginęli, wszystko wypełniono. »

PUSTELNICA.

Alf? to głos jego! mój Alfie, mój luby,
Jakże! już pokój? ty powracasz zdrowo?
Już niepojedziesz?

KONRAD.

O! na miłość Boga,
O nic niepytaj! słuchaj, moja droga,
Słuchaj i pilnie zważaj każde słowo.
Oni zginęli, — widzisz te pożary?
Widzisz? to Litwa w kraju Niemców broi;
Przez lat sto Zakon ran swych nie wygoi.
Trafiłem w serce stugłowéj poczwary:
Strawione skarby, źródła ich potęgi,
Zgorzały miasta, morze krwi wyciekło,
Jam to uczynił: dopełnił przysięgi,
Straszniejszéj zemsty nie wymyśli piekło.
Ja więcéj nie chcę, wszak jestem człowiekiem!
Spędziłem młodość w bezecnéj obłudzie,
W krwawych rozbojach, — dziś schylony wiekiem,
Zdrady mię nudzą, niezdolny do bitwy,
Już dosyć zemsty, i Niemcy są ludzie.
Bóg mię oświecił, ja powracam z Litwy,
Ja owe miejsca, twój zamek widziałem,
Kowieński zamek, już tylko ruiny,
Odwracam oczy, przelatuję czwałem,
Biegę do owéj, do naszéj doliny.
Wszystko jak dawniéj! też laski, te kwiaty;
Wszystko jak było owego wieczora,

Gdyśmy dolinę żegnali przed laty.
Ach! mnie się zdało że to było wczora!
Kamień, pamiętasz ów kamień wyniosły,
Co niegdyś naszych przechadzek był celem?
Stoi dotychczas, tylko mchem zarosły,
Ledwiem go dostrzegł, osłoniony zielem.
Wyrwałem zielska, obmyłem go łzami;
Siedzenie z darni, gdzie po letnim znoju
Lubiłaś spocząć między jaworami;
Źródło, gdziem szukał dla ciebie napoju;
Jam wszystko znalazł, obejrzał, obchodził.
Nawet twój mały chłodnik zostawiono,
Com go suchemi wierzbami ogrodził,
Te suche wierzby, jaki cud, Aldono!
Dawniéj mą ręką wbite w piasek suchy,
Dziś ich nie poznasz, dzisiaj piękne drzewa,
I liście na nich wiosenne powiewa,
I młodych kwiatków unoszą się puchy.
Ach! na ten widok pociecha nieznana,
Przeczucie szczęścia serce ożywiło:
Całując wierzby padłem na kolana,
Boże mój, rzekłem, oby się spełniło!
Obyśmy w strony ojczyste wróceni,
Kiedy litewską zamieszkamy rolę,
Odżyli znowu; niech i naszą dolę
Znowu nadziei listek zazieleni.

«Tak! wróćmy, pozwól, mam w Zakonie władzę,
Każę otworzyć, lecz po co roskazy?
Gdyby ta brama była tysiąc razy
Twardszą od stali, wybiję, wysadzę;
Tam cię, o luba! ku naszéj dolinie,
Tam poprowadzę, poniosę na ręku,
Lub daléj pójdziem; są w Litwie pustynie,
Są głuche cienie białowieskich lasów,
Kędy niesłychać obcéj broni szczęku,
Ani dumnego zwycięzcy hałasów,
Ni zwyciężonych braci naszych jęku.
Tam w środku cichéj, pasterskiéj zagrody,
Na twojém ręku, u twojego łona
Zapomnę, że są na świecie narody,
Że jest świat jakiś, — będziem żyć dla siebie.
Wróć, powiedź, pozwól.» Milczała Aldona,
Konrad umilknął, czekał odpowiedzi.
W tém krwawa jutrznia błysnęła na niebie:

« Aldono przebóg! ranek nas uprzedzi,
Zbudzą się ludzie, i straż nas zatrzyma;
Aldono!» wołał, drżał z niecierpliwości,
Głosu nie stało, błagał ją oczyma,
I załamane ręce wzniósł do góry,
Padł na kolana, i żebrząc litości,
Objął, całował, zimnéj wieży mury.

PUSTELNICA.

« Nie, już po czasie — rzekła smutnym głosem.
Ale spokojnym, — Bóg mi doda siły,
On mię zasłoni przed ostatnim ciosem.
Kiedym tu weszła, przysięgłam na progu,
Nie zstąpić z wieży, chyba do mogiły.
Walczyłam z sobą; dziś i ty, mój miły,
I ty mi dajesz pomoc przeciw Bogu.
Chcesz wrócić na świat, kogo? nędzną marę!
Pomyśl, ach pomyśl! jeżeli szalona
Dam się namówić, rzucę tę pieczarę,
I z uniesieniem padnę w twe ramiona,
A ty nie poznasz, ty mię nie powitasz,
Odwrócisz oczy i s trwogą zapytasz:
Ten straszny upior jestże to Aldona?
I będziesz szukał w zagasłéj źrenicy,
I w twarzy, która... ach! myśl sama razi...
Nie, niechaj nigdy nędza pustelnicy
Pięknéj Aldonie oblicza nie kazi.

« Ja sama — wyznam — daruj, mój kochany,
Ilekroć xiężyc żywszém światłem błyska,
Gdy słyszę głos twój, kryję się za ściany,
Ja cię, mój drogi, nie chcę widzieć zbliska.
Ty może dzisiaj już nie jesteś taki,

Jakim bywałeś, pamiętasz, przed laty,
Gdyś wjechał w zamek z naszemi orszaki;
Lecz dotąd w mojém zachowałeś łonie
Też same oczy, twarz, postawę, szaty.
Tak motyl piękny, gdy w bursztyn utonie,
Na wieki całą zachowuje postać.
Alfie, nam lepiéj takiemi pozostać,
Jakiemi dawniéj byliśmy, jakiemi
Złączym się znowu, — ale nie na ziemi.

« Doliny piękne zostawmy szczęśliwym!
Ja lubię moję kamienną zaciszę,
Mnie dosyć szczęścia, gdy cię widzę żywym,
Gdy miły głos twój co wieczora słyszę.
I w téj zaciszy można, Alfie drogi,
Możnaby wszystkie cierpienia osłodzić,
Porzuć już zdrady, mordy i pożogi,
Staraj się częściéj i raniéj przychodzić.

« Gdybyś — posłuchaj — około równiny
Chłodnik podobny owemu zasadził,
I twoje wierzby kochane sprowadził,
I kwiaty, nawet ów kamień z doliny;
Niech czasem dziatki s pobliskiego sioła,
Bawią się między ojczystemi drzewy,
Ojczyste w wianek uplatają zioła,

Niechaj Litewskie powtarzają śpiewy.
Piosnka ojczysta pomaga dumaniu,
I sny sprowadza o Litwie i tobie;
A potém, potém, po mojém skonaniu,
Niech przyśpiewują i na Alfa grobie. »

Alf już nie słyszał, on po dzikim brzegu
Błądził bez celu, bez myśli, bez chęci.
Tam góra lodu, tam puszcza go nęci,
W dzikich widokach i w naglonym biegu
Znajdował jakąś ulgę, — utrudzenie.
Ciężko mu, duszno śród zimowéj słoty;
Zerwał płaszcz, pancerz, rostargał odzienie,
I s piersi zrzucił wszystko, — prócz zgryzoty.

Już rankiem trafił na miejskie okopy,
Ujrzał cień jakiś, zatrzymał się, bada....
Cień krąży daléj i cichemi stopy
Wionął po śniegu, w okopach przepada,
Głos tylko słychać: — « biada, biada, biada! »

Alf na ten odgłos zbudził się i zdumiał,
Pomyślił chwilę — i wszystko zrozumiał.
Dobywa miecza i na różne strony
Zwraca się, śledzi niespokojném okiem:
Pusto dokoła, tylko przez zagony

Śnieg leciał kłębem, wiatr północny szumiał,
Spójrzy ku brzegom, staje rozrzewniony;
Nakoniec wolnym, chwiejącym się krokiem
Wraca się znowu pod wieżę Aldony.

Dostrzegł ją zdala, jeszcze w oknie była.
— « Dzień dobry, krzyknął, przez tyle lat z sobą
Tylkośmy nocną widzieli się dobą;
Teraz dzień dobry, — jaka wróżba miła!
Pierwszy dzień dobry, po latach tak wielu.
Zgadnij, dla czego przychodzę tak rano? »

ALDONA.

« Niechcę zgadywać, bądź zdrów, przyjacielu,
Już nazbyt światło, gdyby cię poznano....
Przestań namawiać, — bądź zdrów, do wieczora,
Wyniść nie mogę, nie chcę. »

ALF

« Już nie pora!
Wiész, o co proszę? — zrzuć jaką gałąskę —
Nie, kwiatów nie masz, więc nitkę z odzieży;
Albo s twojego warkocza zawiąskę,
Albo kamyczek ze ścian twojéj wieży;
Chcę dzisiaj — jutro nie każdemu dożyć —

Chcę na pamiątkę mieć jaki dar świeży,
Który dziś jeszcze był na twojém łonie,
Na którym jeszcze świeża łeska płonie.
Chcę go przed śmiercią na mém sercu złożyć,
Chcę go ostatnim pożegnać wyrazem,
Mam zginąć wkrótce, nagle; gińmy razem.
Widzisz tę bliską, przedmiejską strzelnicę?
Tam będę mieszkał; dla znaku, co ranek,
Wywieszę czarną chustkę na krużganek,
Co wieczór lampę u kraty zaświécę:
Tam wiecznie patrzaj, jeśli chustkę zrzucę,
Jeżeli lampa przed wieczorem skona;
Zamknij twe okno, może już nie wrócę.

Bądź zdrowa » — odszedł i zniknął. Aldona
Jeszcze pogląda zwieszona u kraty;
Ranek przeminął, słońce zachodziło,
A długo jeszcze w oknie widać było
Jéj białe z wiatrem igrające szaty,
I wyciągnięte ku ziemi ramiona.

« Zaszło nakoniec » rzekł Alf do Halbana,
Wskazując słońce z okna swéj strzelnicy,
W któréj zamknięty od samego rana
Siedział patrzając w okno pustelnicy:

« Daj mi płaszcz, szablę, bądź zdrów, wierny sługo,
Pójdę ku wieży, — bywaj zdrów na długo,
Może na wieki; posłuchaj Halbanie,
Jeżeli jutro, gdy dzień zacznie świecić,
Ja nie powrócę, opuść to mieszkanie. —
Chcę, chciałbym jeszcze coś tobie polecić —
Jakżem samotny! pod niebem i w niebie
Nie mam nikomu, nigdzie, nic, powiedzieć
W godzinę skonu, — prócz jéj i prócz ciebie.
Bądź zdrów Halbanie, ona będzie wiedzieć,
Ty rzucisz chustkę, jeśli jutro rano...
Lecz cóżto? słyszysz — w bramę kołatano.»

« Kto idzie?» trzykroć odźwierny zawołał.
« Biada!» krzyknęło kilka dzikich głosów;
Widać, że strażnik oprzeć się nie zdołał,
I brama tęgich nie wstrzymała ciosów.
Już orszak dolne krużganki przebiega,
Już przez żelazne pokręcone wschody,
Do Wallenroda wiodące gospody,
Łoskot stóp zbrojnych raz wraz się rozlega;
Alf zawaliwszy wrzeciądzem podwoje,
Dobywa szablę, wziął czarę ze stoła,
Poszedł ku oknu, — « stało się!» zawoła,
Nalał i wypił, — « starcze! w ręce twoje! »

Halban pobladnął, chciał skinieniem ręki
Wytrącić napój, wstrzymuje się, myśli;
Słychać za drzwiami coraz bliższe dźwięki,
Opuszcza rękę, — « To oni, — już przyśli. »

« Starcze! rozumiész, co ten loskot znaczy?
I czego myślisz? masz nalaną czaszę,
Moja wypita; starcze! w ręce wasze. »
Halban poglądał w milczeniu rospaczy.

« Nie, ja przeżyję... i ciebie, mój synu! —
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki,
I żyć — ażebym sławę twego czynu
Zachował światu, rozgłosił na wieki.
Obiegę Litwy wsi, zamki i miasta,
Gdzie niedobiegę, pieśń moja doleci,
Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta
Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci;
Będzie ją śpiewać, i kiedyś w przyszłości
S téj pieśni wstanie mściciel naszych kości. »
Na poręcz okna Alf ze łzami pada,
I długo, długo ku wieży poglądał,
Jak gdyby jeszcze napatrzyć się żądał
Miłym widokom, które wnet postrada.
Objął Halbana, westchnienia zmieszali
W ostatniém, długiém, długiém uściśnieniu.

Już u wrzeciądzów słychać łoskot stali,
Wchodzą, wołają Alfa po imieniu:

« Zdrajco! twa głowa dzisiaj pod miecz padnie,
Żałuj za grzechy, gotuj się do zgonu,
Oto jest starzec, kapelan Zakonu,
Oczyść twą duszę i umrzyj przykładnie.»

Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania,
Lecz coraz blednie, pochyla się, skłania;
Wsparł się na oknie, i tocząc wzrok hardy,
Zrywa płaszcz, Mistrza znak na ziemię miota,
Depce nogami z uśmiechem pogardy:
« Oto są grzechy mojego żywota!

« Gotowem umrzeć, czegoż chcecie więcéj?
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy?
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierżawy.
Słyszycie wicher? pędzi chmury śniegów;
Tam marzną waszych ostatki szeregów.
Słyszycie? wyją głodnych psów gromady,
One się gryzą o szczątki biesiady.

« Ja to sprawiłem; jakem wielki, dumny!
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem!

Jak Samson jedném wstrząśnieniem kolumny,
Zburzyć gmach cały, i runąć pod gmachem. »

Rzekł, spójrzał w okno i bez czucia pada,
Ale nim upadł lampę z okna ciska,
Ta trzykroć kołem obiegając błyska,
Nakoniec legła przed czołem Konrada;
W rozlanym płynie tleje rdzeń ogniska,
Lecz coraz głębiéj topi się i mroczy.
Wreszcie, jak gdyby dając skonu hasło,
Ostatni, wielki krąg światła rostoczy,
I przy tym blasku widać Alfa oczy,
Już pobielały — i światło zagasło.

I w téjże chwili przebił wieży ściany
Krzyk nagły, mocny, przeciągły, urwany, —
S czyjéj to piersi? wy się domyślicie;
A ktoby słyszał, odgadnąłby snadnie,
Że piersi, s których taki jęk wypadnie,
Już nigdy więcéj nie wydadzą głosu:
W tym głosie całe ozwało się życie.

Tak stróny lutni od tęgiego ciosu
Zabrzmią i pękną: zmieszanemi dźwięki
Zdają się głosić początek piosenki,
Ale jéj końca nikt się nie spodziewa.

Taka pieśń moja o Aldony losach;
Niechaj ją anioł harmonii w niebiosach,
A czuły słuchacz w duszy swéj dośpiewa.

OBJAŚNIENIA.

OBJAŚNIENIA.

(Str. 9, w. 2.)

Z Marjenburskiéj wieży zadzwoniono.

Marienburg, po polsku *Malborg*, miasto obronne, niegdyś stołeczne Krzyżaków, za Kazimierza Jagiellona przyłączone do rzeczypospolitéj Polskiéj, późniéj oddane w zastaw margrabiom Brandeburskim, przeszło nakoniec w posiadłość królów Pruskich. W sklepach zamku były groby Wielkich Mistrzów; niektóre dotąd ocalały. *Voigt*, professor królewiecki, wydał przed kilku laty historyą Marjenburga, dzieło ważne dla historyi Prus i Litwy.

(Str. 9. w. 8, 9.)

Wielki krzyż — wielki miecz,

Insignia Wielkich Mistrzów.

(Str. 10, w. 2.)

Domy, tak nazywały się klasztory, albo raczéj zamki po różnych krajach Europy rozrzucone.

(Str. 10, w. 9.)

Gonić na ostre, dawne wyrażenie polskie, *combattre à outrance.*

(Str. 14, w. 21, 22.)

Tym nieśmiertelnéj talismanem duszy
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.

Wzrok człowieka, powiada *Cooper*, jeśli jaśnieje wyrazem odwagi i rozumu, sprawia mocne wrażenie nawet na dzikich zwierzętach. Przytaczamy z téj okoliczności prawdziwe zdarzenie amerykańskiego strzelca, który skradając się do kaczek usłyszał szelest, podniósł się i ujrzał s przestrachem ogromnego tuż leżącego lwa. Zwierz zdawał się być równie zdziwiony nagłym widokiem człowieka atletycznéj postawy. Strzelec nieśmiał dać ognia, mając strzelbę śrótem nabitą. Stał więc nieruchomy, oczyma tylko grożąc nieprzyjacielowi. Lew ze swojéj strony siedząc spokojnie, niespuszczał oczu ze strzelca: po kilku sekundach odwrócił głowę i oddalił się powoli, ale zaledwo uszedł kilkanaście kroków, zatrzymał się i znowu powrócił. Znalazł na miej-

scu nieruchomego strzelca, spotkał się znowu z nim oko w oko, i nakoniec, jak gdyby uznawał wyższość człowieka, spuścił oczy i odszedł. *Bibliothèque Universelle, 1827 fevrier. Voyage du capitaine Head.*

(Str. 16, w. 18.)

Arcykomtur, **Grosskomthur**, najpierwszy urzędnik po wielkim Mistrzu.

(Str. 18, w. 5.)

Jakaś nieznana pobożna niewiasta. Kroniki owych czasów piszą o wiejskiéj dziewicy, która przybywszy do Marjenburga żądała aby ją zamurowano w osobnéj celi, i tam życia dokonała. Grób jéj słynął cudami.

(Str. 20, w 19, 21, 24.)

Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom.
Konrad, dzielnego imię Wallenroda,
On Mistrzem naszym!—

W czasie obioru, jeśli zdania były podzielone lub niepewne, zdarzenia podobne brane za wieszczbę, wpływały na obrady kapituły. I tak **Winrich Kniprode** pozyskał wszystkie głosy, ponieważ kilku braci słyszało jakoby w grobach Mistrzów wołanie trzykrotne: *Vinrice! Ordo laborat*, « Winrychu! Zakon w niebespieczeństwie. »

(Str. 26, w. 13.)

Zamek Swentoroga, zamek Wileński, gdzie był niegdyś utrzymywany *Znicz*, to jest ogień wieczny.

(Str. 38, w. 2.)

Cieszmy się w Panu! hasło uczt Zakonnych owego wieku.

(Str. 42, w. 8.)

Pieśń Wajdeloty. Obacz *Grażyna*, (wydanie Paryzkie r. 1844 str. 148), objaśnienie wiersza:

Jego jakoby drugiego Mindowę
Na ucztach wielbią Wajdeloci nasi

Tam autor powiada: « Wajdeloci, Sigonoci, Lingustoni, zwali się kapłani, których obowiązkiem było dzieła przodków na obrzędach wszelkich, a szczególniéj w czasie jesiennych świąt kozła, opowiadać lub opiewać ludowi. Że starzy Litwini i Prusacy lubili i uprawiali poezyą, przekonywają o tém pieśni dawne w niezmiernéj liczbie, dotąd między gminem pozostałe, i świadectwa dziejopisów. Czytamy w Stryjkowskim, iż na pogrzebie xiążąt kapłan opiewał ich czyny; iż za czasów Miechowity, powtarzano piosnkę o xiążęciu Zygmuncie zabitym od kniaziów ruskich. Ale najciekawszy i najważniejszy w tym względzie szczegół znajduje się w dziele niemie-

ckiém: *Versuch einer Geschichte der Hochmeister. Berlin 1798.* Autor téj szacownéj xiążki Becker, cytuje starożytną kronikę Wincentego Moguntczyka, który był nadwornym kapelanem wielkiego Mistrza Dusenera von Arfberg, i pisał dzieje swoich czasów (od r. 1346). Między innemi czytamy, iż podczas wielkiéj uczty z okoliczności obioru wielkiego Mistrza Winrycha von Kniprode, Minensinger niemiecki śpiewał uczczony oklaskami i złotym puharem. Tak dobre przyjęcie poety, zachęciło przytomnego Prusaka nazwiskiem Rizelus; prosił więc o pozwolenie śpiewania w ojczystym języku litewskim, i sławił dzieła pierwszego króla Litwinów Wajdewuta; Wielki Mistrz i Krzyżacy nierozumiejąc i nielubiąc mowy litewskiéj wyśmiali poetę i dali mu w podarunku talerz pustych orzechów *). Nie powinny więc zdawać się śmiesznemi twierdzenia Kotzebuego i Bohusza, iż literatura litewska bogatą być musiała w poezye bohatérskie i historyczne, chociaż do naszych czasów mało co doszło w tym rodzaju. W Prusach albowiem Krzyżacy pod karą śmierci zakazali urzędnikom i wszystkim zbliżającym się do dworu używać języka Litewskiego: wywołali s kraju razem z cy-

*) Kotzebue lubo przytacza tę powieść, zdaje się jednak wątpić o bytności rękopisu kroniki Wincentego. Wszakże w bibliotece Szczorsowskiej w zbiorze rospraw studentów Gdańskich, jest pisemko niejakiego Taschke pod r. 1735, gdzie autor cytuje kronikę Wincentego jakoby drukowaną we Frankforcie i dowodzi, że wspomniony Wincenty nie był Moguntczykiem, ale Gdańszczaninem.

ganami i żydami Wajdelotów, Litewskich Bardów, którzy sami dzieje narodowe znać i opiewać mogli. W Litwie znowu, za wprowadzeniem wiary chrześciańskiéj i języka polskiego, dawni kapłani i mowa ojczysta poszła w pogardę i zapomnienie; odtąd lud prosty zamieniony w niewolnictwo i obrócony do roli, zarzuciwszy oręż zapomniał też i o pieniach rycerskich, powtarzając stosowniejsze do teraźniejszego położenia swojego, treny i sielanki. Jeżeli zostawało coś z dawnych ich dziejów i poezyi bohatérskiéj, to w domowych tylko zagrodach albo w czasie obrzędów zdawna z zabobonnością połączonych w tajemnicy gminowi udzielano. Symon Grunau w XVI wieku trafił przypadkiem w Prusach na ucztę kozła, i ledwo uprosił życie przysiągłszy wieśniakom, iż nikomu nie wyda tego, co ujrzy lub usłyszy. Wtenczas po spełnionéj ofierze stary Wajdelota zaczął śpiewać dzieje dawnych bohaterów Litwy mieszając nauki moralne i modły. Grunau, który dobrze po litewsku rozumiał, wyznaje, iż nic podobnego nie spodziewał się usłyszeć z ust Litwina, taka była piękność rzeczy i wysłowienia.»

(Str. 44, w. 9.)

Staje widomie morowa dziewica. Lud prosty w Litwie wyobraża morowe powietrze w postaci dziewicy, któréj zjawienie się opisane tu według powieści gminnéj, poprzedza straszliwą chorobę. Przytoczę, w treści przynajmniéj, słyszaną nie-

gdyś w Litwie balladę. «We wsi zjawiła się mo-
«rowa dziewica, i według zwyczaju przeze drzwi
«lub okno wsuwając rękę, i powiewając czer-
«woną chustką, rozsiewała śmierć po domach.
«Mieszkańcy zamykali się warownie; ale głód i
«inne potrzeby wkrótce zmusiły do zaniedbania
«takowych środków ostrożności; wszyscy więc
«czekali śmierci. Pewny szlachcic, lubo dostate-
«cznie opatrzony w żywność i mogący najdłużéj
«wytrzymać to dziwne oblężenie, postanowił je-
«dnak poświęcić się dla dobra bliźnich, wziął
«szablę zygmuntówkę, na któréj było *imię Jezus,*
«*imię Marya*, i tak uzbrojony otworzył okno
«domu. Szlachcic jednym zamachem uciął stra-
«szydłu rękę, i chustkę zdobył. Umarł wpraw-
«dzie i cała jego rodzina wymarła, ale odtąd ni-
«gdy we wsi nieznano morowego powietrza.»
Chustka owa miała być zachowana w kościele niepomnę jakiego miasteczka. Na wschodzie przed zjawieniem się dżumy, ma się pokazywać widmo na skrzydłach nietoperza, i palcami wytykać skazanych na śmierć. Zdaje się że imaginacya gminna w podobnych obrazach przedstawić chciała to przeczucie tajemne i tę dziwną trwogę, która zwykła poprzedzać wielkie nieszczęścia lub zgon, a którą nie tylko pojedyncze osoby, ale całe narody częstokroć podzielają. Tak w Grecyi przeczuwano długie trwanie i okropne skutki wojny peloponeskiéj, w państwie rzymskiém upadek monarchji, w Ameryce przybycie Hiszpanów i t. d.

(Str. 51, w. 19.)

Miałem imię Waltera. **Walther von Stadion** rycerz niemiecki, wzięty w niewolą od Litwinów, zaślubił córkę Kiejstuta, i z nią potajemnie ujechał z Litwy. Często się zdarzało, że Prusacy i Litwini dziećmi porwani i wychowani w Niemczech, powracali do ojczyzny i stawali się najsroższymi Niemców nieprzyjaciołmi. Takim był pamiętny w dziejach Zakonu Prusak Herkus Monte.

(Str. 79, w 1.)

Wojna. Obraz téj wojny skreślony podług historyi.

(Str. 84, w. 21.)

Trybunał tajemny. W wiekach średnich, kiedy możni dukowie i baroni dopuszczali się częstokroć wszelkich zbrodni, kiedy powaga zwyczajnych trybunałów była za słaba na ich poskromienie, zawiązało się bractwo tajemne, którego członkowie nieznając się między sobą, obowiązywali się przysięgą karać winnych, nie przepuszczając własnym przyjaciołom lub krewnym. Skoro sędziowie tajemni wydali wyrok śmierci, uwiadomiano potępionego, wołając nań pod oknami lub gdziekolwiek w jego obecności: **wch!** *biada!* To trzykroć powtórzone slowo było strzeżeniem; kto je usłyszał, gotował się na

śmierć, którą niechybnie a niespodziewanie miał z ręki niewiadoméj odebrać. Sąd tajemny nazywał się jeszcze trybunałem *femicznym* (**Vemgericht**) albo *Westfalskim*. Trudno oznaczyć, kiedy wziął początek; podług niektórych miał być ustanowiony przez Karola Wielkiego. Zrazu potrzebny, dał następnie dowód do różnych nadużyć, i rządy zmuszone były srożyć się nieraz przeciwko samymże sędziom, nim tę instytucyą całkiem obalono.

* * *

Nazwaliśmy powieść naszą historyczną, bo charaktery działających osób, i wszystkie ważniejsze wspomnione w niéj zdarzenia skreślone są podług historyi. Owczesne kroniki w cząstkowych rozerwanych spisach, nieraz odgadywane tylko i domysłami dopełniane być muszą, by z nich jaką całość historyczną utworzyć. Lubo w dziejach Wallenroda pozwoliłem sobie domysłów, mam nadzieję usprawiedliwić je podobieństwem do prawdy. Podług kronik Konrad Wallenrod nie pochodził ze sławnéj w Niemczech rodziny Wallenrodów, chociaż udawał się za jéj członka. Miał być czyimś synem z nieprawego łoża. Kronika królewiecka (biblioteki Wallenroda) powiada: **er war ein Pfaffenkind**. O charakterze tego dziwnego człowieka różne i sprzeczne czytamy podania. Większa część kronikarzy wyrzuca mu dumę, okrucieństwo, pi-

jaństwo, srogość dla podwładnych, małą gorliwość o wiarę, i nawet nienawiść ku duchownym. **Er war ein rechter Leuteschinder.** (Kronika biblioteki Wallenroda). **Nach Krieg, Zank und Hader hat sein Herz immer gestanden; und ob er gleich ein Gott ergebener Mensch von wegen seines Ordens seyn sollte, doch ist er allen frommen geistlichen Menschen Eräuel gewesen.** (Dawid Lucas). **Er regierte nicht lang, denn Gott plagte ihn inwendig mit dem laufenden Feuer.** Z drugiéj strony przyznają mu ówcześni pisarze wielkość umysłu, męstwo, szlachetność i moc charakteru; jakoż bez rzadkich przymiotów nie mógłby władzy swojéj utrzymać śród powszechnéj nienawiści i klęsk, które na Zakon sprowadził. Przypomnijmy teraz postępowanie Wallenroda. Kiedy objął rządy Zakonu, sposobna zdarzała się pora wojowania z Litwą; bo Witołd przyrzekł sam Niemców na Wilno prowadzić, i hojnie im posiłki wynagrodzić. Wallenrod jednak zwlekał wojnę, co gorsza, zraził Witołda i tak mu niebacznie zaufał, że ten xiążę pogodziwszy się tajemnie z Jagiełłą, nietylko s Prus uszedł, ale po drodze, wchodząc do zamków niemieckich jak przyjaciel, palił je i załogi wycinał. W tak niepomyślnéj zmianie okoliczności, należało wojnę zaniechać, albo bardzo ostrożnie przedsiębrać. Wielki Mistrz ogłasza krucyatę, wysypuje skarby Zakonu na przygotowania (5,000,000 Mark, około miliona złotych węgierskich, summa na owe czasy niezmierna,) ciągnie do Litwy Mógłby Wilno zdo-

być, gdyby czasu na ucztach i oczekiwaniach posiłków nie zmarnował. Nadeszła jesień, Wallenrod zostawiwszy obóz bez żywności, w największym bezładzie uchodzi do Prus. Kronikarze i późniejsi historycy nie mogą zgadnąć przyczyny tak nagłego odjazdu, nie znajdują w ówczesnych okolicznościach żadnego doń powodu. Niektórzy przypisywali ucieczkę Wallenroda pomięszaniu rozumu. Wszystkie tu wymienione sprzeczności w charakterze i postępowaniu naszego bohatéra dają się pogodzić, jeśli przypuścimy, że był Litwinem, i że wszedł do Zakonu aby się nad nim zemścił. Jakoż panowanie jego zadało najsroższy cios potędze Krzyżaków. Przypuszczamy, że Wallenrod był owym Walterem Stadionem, skracając tylko o lat kilkanaście czas ubiegły między odjazdem Waltera z Litwy i ukazaniem się Konrada w Marjenburgu. Wallenrod umarł r. 1394 śmiercią nagłą; dziwne wypadki miały towarzyszyć jego zgonowi. **Er starb**, powiada kronika, **in Kaserei ohne letzte Oelung, ohne Priestersegen. Kurz vor seinem Tode wütheten Stürme, Regengüsse, Wasserfluthen; die Weichsel und die Nogat durchbrachen ihre Dämme... hingegen wühlten die Gewässer sich eine neue Tiefe da, wo jetzt Pillau stehet.** Halban czyli jak go zowią kronikarze Doktor **Leander von Albanus** mnich, jedyny i nieodstępny towarzysz Wallenroda, lubo udawał pobożność, był podług kronikarzy heretykiem, poganinem, a może czarownikiem. O zgonie Halbana nie ma pewnych wiadomości. Niektórzy piszą że uto-

nął, inni, że uszedł tajemnie, lub od szatana porwany został. Kroniki przywodziliśmy po większéj części z dzieł Kotzebue: **Preussens Geschichte, Belege und Erläuterungen.** Harknoch, nazywając Wallenroda **unsinnig**, bardzo krótką daje o nim wiadomość.

* * *

Lubo rodzaj wiersza, użyty w *powieści Wajdeloty*, mało jest znany, nie chcemy wykładać powodów, które nas do téj nowości skłoniły, aby nie uprzedzać zdania czytelników. Za miarę zgłosek uważalismy akcent zachowujący się w wymawianiu: radziliśmy się też uwag zawartych w ważném dziele Królikowskiego. Wprawdzie w kilku miejscach odstąpiliśmy od podanych przezeń prawideł, tłumaczyć się tu jednak z tego względu, nie poczytujemy za rzecz stósowną i potrzebną. Oto jest kilku wierszy skandowanie:

— ◡ — ◡ ◡ —◡ — ◡ ◡ —◡
Skąd Li—twini wra | cają | z nocnéj wra | cają

◡ — ⏑
wy | cieczki

—◡ —◡ ◡ —◡ — ◡ ◡ — ◡
Wiozą | łupy bo | gate | w zamkach i | cerkwiach

◡ —⏑
zdo | byte.

— ◡ ◡ —◡ ◡ —◡ — ◡ ◡ —
Sama nie | widzi co | robi | wszyscy mi | to

◡ ◡ —⏑
powia | dają.

W budowie wiersza naśladowano hexametr grecki, s tą różnicą, że w miejscu spondeów (— —) używano najczęściéj trocheów (— ⏑), albo — ⏓. W dwóch lub trzech miejscach daktyle zastąpione są przez *antibacchius* (— — o), którego średnia zgłoska nie jest wyraźnie długą, n. p. krzyk mojéj matki.

BIBLIOTHECA
REGIA
MONACENSIS

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.

BSB Bayerische StaatsBibliothek

MDZ Münchener DigitalisierungsZentrum Digitale Bibliothek

Mickiewicz, Adam,

Konrad Wallerode [ein Gedicht]

Leipzig 1846

P.o.rel. 2590 u
urn:nbn:de:bvb:12-bsb10036076-3